ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

24.9.72

39 (775) Rok XV Cena 1.50 zł

JERZY WAWRZAK

1000000000

Z tym miliardem to niezupełna prawda, chociaż na upartego mógłbym się go doliczyć. Stanęliśmy na dziewięćset dwudziestu milionach, kiedy zrozumiałem, że nie o to mi chodzi. Lecz, że miliard dobrze brzmi, więc został w tytule. Ale, ale... W 1974 Zakłady „POLMO" w Praszce dadzą produkcję wartości 1 miliarda — i już jest prawdziwie i z jakimś uzasadnieniem.

Nie lubię sentencji, tych przeważnie na doraźny użytek wymyślonych mądrostek. Ale co innego nie lubić, a co innego się przed nimi obronić. Patrząc na okazałą wizytówkę budowy, kobylasty napis: ZAKŁADY URZĄDZEŃ HAMULCOWYCH, ze złością ukułem więc na poczekaniu jeszcze jedną „kto nie smaruje, ten nie pojedzie — kto nie ma dobrego hamulca, nie dojedzie wcale". Śmiać mi się chciało z tego mojego filozofowania. Opatrzność czuwała, więc się nie wygadałem, boby pewnie spojrzeli na mnie jak na wariata. Oni tu bowiem do tych hamulców, pomp, przekładni i czegoś tam jeszcze, co już zrobili i co zrobią na pewno w najbliższej przyszłości — mają stosunek bardzo rzeczowy. Rzeczowo więc trzeba z nimi rozmawiać, a później już na swój rachunek dopowiedzieć resztę.

Dwa słowa o historii...

chociaż niejedną przestrogę usłyszałem. Nie zaczynać od Piasta kołodzieja, od tych magazynów poniemieckich, gdzie zaczęli montować latarki elektryczne, jako filia częstochowskiego „Elektrodynu". Bo ich już mierzi takie gadanie w kółko: jak to było, a jak jest, jakby im kto wypominał tamtą przeszłość i dziwił się, jak to teraz im się udało panaboga wielkiej techniki obłapić za kolana. I to nie jest

Dalszy ciąg na str. 5

JAN IZYDOR SZTAUDYNGER

GRZYBY...

„Nieprawdą jest to, co napisałem w jednej z moich fraszek, że nie zazdroszczę niczego, tylko młodej, pięknej dziewczyny, prowadzonej przez bubka pod rękę. Zazdroszczę i jak jeszcze, gdy widzę kosz pełen grzybów". Tak rozpoczyna się utwór zmarłego w roku 1970 cenionego i popularnego satyryka. (nigdzie dotąd nie publikowany), który polecamy dziś naszym czytelnikom.

Dla miłośników autora słynnych „Piórek" będzie to nie tylko przypomnienie ich ulubionego pisarza, ale także przeżycie, bowiem tekst niesie w sobie sporo właściwości talentu Sztaudyngera jako satyryka oraz jako poety, twórcy urokliwych liryków. Prezentowany tu tekst jest fragmentem wspomnień, których tom zatytułowany „Szczęście z datą wczorajszą" ukaże się nakładem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie, a więc w mieście, które zmarły poeta ukochał na równi z Łodzią.

Dalszy ciąg na str. 4

Nowoczesność w szkole – HASŁO I PRAKTYKA

To temat rozmowy „Odgłosów" z kuratorem OS m. Łodzi — MGR HENRYKIEM GRENDĄ i wicekuratorem Łódzkiego OS— MGR MIECZYSŁAWEM KLIMKIEM.

Tekst rozmowy — patrz str. 6

„Zasadniczym celem polityki społeczno-ekonomicznej partii — stwierdza Uchwała VI Zjazdu PZPR — **jest systematyczna poprawa warunków bytowych, socjalnych i kulturalnych społeczeństwa. Służyć temu powinny: dynamiczny rozwój sił wytwórczych, wzrost społecznej wydajności pracy, postęp naukowo-techniczny, przebudowa i unowocześnienie struktury gospodarczej kraju, podniesienie efektywności całego systemu gospodarczego".**

Lucjusz Włodkowski

WSPÓŁCZESNOŚĆ ZALEŻY OD NAS

Realizacja tego zasadniczego celu wymaga stałego i systematycznego rozwoju świadomości politycznej i społecznej wszystkich obywateli, rozwoju demokracji socjalistycznej, która jest najszerszą formą angażowania mas pracujących do zarządzania krajem. Postępowi gospodarczemu, a więc nowoczesnej technice i organizacji pracy musi towarzyszyć postęp społeczny. Jest on jednocześnie podstawowym warunkiem rozwoju gospodarczego.

Bez kształtowania i rozwijania socjalistycznej świadomości społeczeństwa nie można będzie skutecznie spełnić tych wszystkich celów, jakie założyliśmy sobie nie tylko na najbliższe lata. Chcemy radykalnie przekształcić nasz kraj, uczynić go nowoczesnym, ZBUDOWAĆ DRUGĄ POLSKĘ, a będzie to możliwe tylko wtedy, jeśli z naszego życia społecznego znikać będą współczesne plagi: obojętność, prywata, niekompetencja, wygodnictwo i inne, które każdy z nas może sobie z łatwością dopisać do tego rejestru.

Dalszy ciąg na str. 6

ZE ŚWIATA

Kolejnym krokiem na drodze do normalizacji stosunków z NRF była pierwsza w Bonn wizyta polskiego ministra spraw zagranicznych. Opublikowany po jej zakończeniu komunikat przynosi postanowienie o nawiązaniu stosunków dyplomatycznych i rychłym powołaniu ambasadorów w Warszawie i Bonn oraz informuje, że przedmiotem rozmów były problemy normalizacji stosunków i rozszerzenia kontaktów handlowych i gospodarczych między obu krajami.

Nawiązanie stosunków dyplomatycznych jest niewątpliwie ważnym ogniwem w procesie normalizacji. Ale tylko ogniwem, gdyż między obu krajami istnieje wiele problemów, które będą wymagały uregulowania, aby słowo: „znormalizowanie" miało swoją pełną wartość. Wymienialiśmy je kiedyś na tym miejscu, nie ma więc potrzeby powtarzania. Dlatego rozmowy min. Olszowskiego z min. Scheelem, chociaż przyniosły postęp, nie upoważniają jeszcze do przypuszczeń, iż teraz już proces normalizacji przebiegnie szybko i łatwo.

Pokojowe interesy Europy wymagają, aby jednocześnie znalazła swój pomyślny finał sprawa normalizacji stosunków między obu państwami niemieckimi, dyskutowana obecnie przez ich przedstawicieli oraz aby sukcesem uwieńczone zostały rozmowy czechosłowacko-zachodnioniemieckie na temat uznania układu monachijskiego za nieważny od samego początku. Wówczas i inne kraje socjalistyczne mogłyby ułożyć swe stosunki z NRF. Te dwie kwestie są bowiem równie ważne, jak uznanie naszych granic zachodnich za ostateczne.

Taki dalszy bieg wydarzeń leży także w dobrze pojętym interesie NRF. Przyznaje to na przykład „Westfaelische Rundschau": „NRF, podobnie jak inne kraje zachodnie, potrzebuje normalnych stosunków z wszystkimi krajami socjalistycznymi, mimo utrzymujących się różnic ideologicznych."

Wizyta min. S. Olszowskiego w NRF rozpoczęła serię spotkań i rozmów, jaką przyniesie jesień. Przypomnijmy tylko, że trasa ich będzie wiodła przez Waszyngton, Nowy Jork, Paryż, Sztokholm...

Skoro już o wizytach mowa — odnotujmy podróż doradcy prezydenta USA d/s bezpieczeństwa narodowego — H. Kissingera do Moskwy, gdzie przeprowadził długie rozmowy z L. Breżniewem i A. Gromyko na temat bezpieczeństwa europejskiego, wznowienia rokowań, dotyczących ograniczenia zbrojeń strategicznych i stosunków dwustronnych, a następnie jego spotkania z premierem Heathem i prezydentem Pompidou. Kissinger w stolicy Francji odbył również rozmowy z delegacją DRW na rokowania paryskie. Przypuszcza się, że miały one związek z nową inicjatywą Tymczasowego Rządu Republiki Wietnamu Płd.

Inicjatywa ta sprowadza się do utworzenia Tymczasowego Rządu Zgody Narodowej, złożonego z trzech równoprawnych członków — przedstawicieli: TRR RWP, reżimu sajgońskiego i innych sił politycznych. Oceniając ją komentatorzy polityczni zwracają uwagę na fakt, iż w inicjatywie tej położony jest nacisk na „rzeczywistą sytuację w Wietnamie Płd." oraz „równość" trzech członków rządu. USA nie przyjęły tej propozycji, prowadzą nadal niszczycielskie naloty na DRW, ale — zdaniem wielu obserwatorów — powstała nowa sytuacja, która teraz może ewoluować w kierunku zahamowania wojny w Indochinach. W publikacjach wyczuwa się pewien optymizm, nieuzasadniony jeszcze postępowaniem Waszyngtonu, łączący się natomiast z tajnym nurtem rozmów paryskich. Gdyby nadzieje były zasadne — musiałoby się to ujawnić przed listopadowymi wyborami prezydenckimi w USA.

W innym konfliktowym rejonie — na Bliskim Wschodzie ostatnie dni przyniosły wzrost napięcia. Wojska izraelskie kilkakrotnie przekroczyły granicę Libanu i prowokowały starcia z wojskami Syrii.

Tymczasem — w związku z wydarzeniami w Monachium — sekretarz generalny ONZ — K. Waldheim wezwał Zgromadzenie Ogólne do podjęcia kroków w celu zapobieżenia akcjom terrorystycznym. Uważa on, że obecnie stosowanie przemocy jest tak alarmujące i ma tak poważne implikacje, że powinno być przedmiotem zainteresowania ONZ. Nie może być jednak rozpatrywana wyłącznie sprawa Monachium, chodzi o wszechstronną analizę rosnącej fali ekstremizmu i odsłonięcie jej przyczyn.

Wydaje się niemal pewne, że debata bliskowschodnia na sesji ONZ będzie gorąca — głównie wobec wspomnianych akcji represyjnych Izraela. Nasi korespondenci w Nowym Jorku piszą, iż delegacja tego kraju będzie chciała zdyskontować nastroje, wywołane wydarzeniami w Monachium i nimi uzasadnić swe działanie odwetowe. A przecież związki przyczynowe są głębsze — łączą się z okupacją ziem arabskich i sytuacją uchodźców palestyńskich, całą polityką izraelska wobec krajów arabskich.

Na zakończenie dzisiejszego przeglądu z odległych rejonów świata przenieśmy się do podwarszawskiej Jabłonny, gdzie z udziałem dziennikarzy ponad 20 krajów toczyły się dyskusje na temat bezpieczeństwa europejskiego. Drugie to już spotkanie, zainicjowane przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich i równie jak pierwsze, w 1969 roku, udane. Dało ono świadectwo przemianom, jakie w ciągu ostatnich trzech lat przeszedł kontynent europejski. W duchu konstruktywnej współpracy omawiano tam sprawy najważniejsze — pokoju, bezpieczeństwa i zbliżenia między narodami. Dyskutowano o roli, jaką mają do spełnienia masowe środki informacji, bezpośrednio przecież oddziaływające na umysły ludzi, gdzie — jak wyraził się min. Olszowski „rodzą się idee pokoju i współpracy, albo wojny i konfrontacji".

W. SŁAWSKI

Z KRAJU

1.

10 bm. w wyższych szkołach oficerskich odbyły się promocje. Po raz drugi w dziejach naszego ludowego wojska mury uczelni opuścili absolwenci nie tylko ze stopniami oficerskimi, lecz również z dyplomami ukończenia studiów I stopnia. Świadczy to o jakościowym charakterze przemian, jakie dokonały się w szkolnictwie wojskowym w ostatnim okresie. Absolwenci szkół wojskowych to wysoko kwalifikowani specjaliści w danej dziedzinie wojskowej, co gwarantuje prawdziwie nowoczesny charakter sił zbrojnych i wysoki poziom dowodzenia i wyszkolenia bojowego żołnierzy.

Szczególnie uroczysty charakter miała promocja w Wyższej Oficerskiej Szkole Wojsk Inżynieryjnych im. gen. Jakuba Jasińskiego we Wrocławiu z udziałem ministra ON gen. broni W. Jaruzelskiego. Jak co roku uroczystości promocyjne zgromadziły we wszystkich szkołach liczne rzesze mieszkańców oraz rodziny i najbliższych absolwentów szkół.

2.

W Poznaniu odbywały się XXX Targi Krajowe „Jesień 72". Była to impreza największa z dotychczasowych, zarówno pod względem wartości oferowanych towarów, jak również liczby nowych wzorów. Na obecnych targach producenci z przemysłu kluczowego, drobnego i rzemiosła zaproponowali towary wartości ponad 83 mld zł tj. blisko o 30 proc. więcej niż przed rokiem. Z ciekawszych i wzbudzających zrozumiałe zainteresowanie to ekspozycja przemysłu meblarskiego, nad którą objął patronat ZG ZMS. Wystawa pod nazwą „Mymeble, mieszkanie" obejmuje 12 kompletnie i racjonalnie wyposażonych mieszkań różnego typu. Natomiast przemysł lekki wystąpił z problemową wystawą „Ubiór młodzieżowy", na którą złożyła się pełna kolekcja garderoby na sezon wiosenno-letni, a więc z myślą o roku przyszłym. Oceniana pozytywnie oferta przemysłu lekkiego była wartościowo o 2,9 mld zł wyższa niż jesienią ub.

Jesienne targi po raz pierwszy miały pawilon zagraniczny. Był nim pawilon Bułgarski, gdzie prezentowano towary przeznaczone do przyszłej wymiany z Polską.

12 września przybył do Poznania I Sekretarz KC PZPR Edward Gierek wraz z członkami Biura Politycznego i Prezydium Rządu. Członkowie najwyższych władz partyjnych i rządowych zapoznali się z handlowymi ofertami i możliwościami naszego przemysłu, przeprowadzili bezpośrednie rozmowy z producentami i wysłuchali opinii handlowców. Charakterystyczna jest wypowiedź I Sekretarza w pawilonie przemysłu rolno-spożywczego: „W przyszłym roku chcielibyśmy w waszych stoiskach zobaczyć znacznie więcej wszelkich produktów spożywczych. Liczymy na to, że wkrótce zaprezentujecie nowe atrakcyjne wyroby, a wśród nich więcej produktów gotowych i półgotowych — łatwych i szybkich do przyrządzenia. Jest to bowiem istotny element w unowocześnieniu naszych gospodarstw domowych". Charakterystyczna jest to wypowiedź, a jednocześnie zobowiązująca.

Wg ostatnich doniesień podczas tegorocznych targów zawarto 75 tys. umów o łącznej wartości 87 mld zł.

3.

W Warszawie pod przewodnictwem ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki prof. dra Jana Kaczmarka odbył się z okazji zbliżającego się roku akademickiego zjazd rektorów wyższych uczelni. W zjeździe wzięli udział przedstawiciele innych resortów i organizacji młodzieżowych. W referacie min. Kaczmarka jak i wielogodzinnej dyskusji najwięcej uwagi poświęcono kwestiom jakości kształcenia, programom nauczania, doskonalenia organizacji wewnętrznej uczelni, dalszego zacieśniania kontaktów szkół z gospodarką narodową. Również wiele uwagi poświęcono problemowi dalszego rozwoju kadry naukowej, potrzebom materialnym szkół, decentralizacji uprawnień i sytuacji w dziedzinie opieki socjalnej nad studentami i nauczycielami akademickimi.

4.

W sobotę i niedzielę odbyły się w Warszawie uroczystości święta „Trybuny Ludu". Organ KC PZPR po raz pierwszy zorganizował tego typu imprezę i od razu z ogromnym rozmachem i godną pozazdroszczenia inwencją. W imprezie, która przeistoczyła się w wielkie ludowe święto, wzięło udział tysiące warszawiaków i grupy wycieczkowe z całej Polski. W sobotę wręczono nagrody, zespołowe i indywidualne. W Sali Kongresowej odbył się wielki koncert z udziałem najwybitniejszych artystów sceny polskiej. Niedziela, mimo nie najlepszej pogody, przeszła pod znakiem sportu. I to nie wyczynowego, gdyż sportową rywalizację podjęło tysiące uczestników, którzy zwykle są biernymi widzami. Podkreślić należy zarówno ogromny wysiłek organizatorski, jak i pomysłowość. Trudno byłoby wymienić czego na tym sportowym festynie nie było. Przypominano stare, ludowe zabawy, wyścigi w workach, na szczudłach, przeciąganie liny. Z okazji święta TL zorganizowano również szereg wystaw, pokazów, spotkań z wybitnymi ludźmi oraz niezliczoną ilość koncertów najrozmaitszych zespołów muzycznych, wokalnych, tanecznych i bitowych. W sumie bardzo udana, potrzebna i pod każdym względem pożyteczna impreza, mająca również swe znaczenie społeczne, propagandowe jak i rekreacyjne. Jedyną uwagę, jaką można wnieść do organizatorów, to, żeby wzięli pod uwagę nasz klimat.

J. PIECH

W POBLIŻU

■ ŁÓDZKIE WYŻSZE UCZELNIE. Zbliża się nowy rok akademicki. Tysiące studentów zasiądzie w salach wykładowych, a w Łodzi — jak wiadomo — nie wszystkie wyższe uczelnie dysponują odpowiednimi warunkami do pracy studentów i naukowców. Dlatego rozbudowa stanu posiadania szkół wyższych w Łodzi jest ciągle jedną z najważniejszych spraw miasta. Ale tu — jak to niestety ciągle jeszcze bywa w budownictwie — wystąpiły już poważne opóźnienia. Np. przy budowie nowych gmachów PAŃSTWOWEJ WYŻSZEJ SZKOŁY SZTUK PLASTYCZNYCH przedsiębiorstwo budowlane „PRZEMBUD" wykonało do tej pory zaledwie 27 proc. zaplanowanych prac. W lipcu gotowe miało być zaplecze Wydziału Farmacji AKADEMII MEDYCZNEJ. ŁÓDZKIE PRZEDSIĘBIORSTWO BUDOWNICTWA MIESZKANIOWEGO — 1 nie dotrzymało terminu. Podobnie wygląda sytuacja przy budowie pawilonu chemii dla POLITECHNIKI ŁÓDZKIEJ. Generalnym wykonawcą jest tu ŁPBP.

Opóźnienia występują nie tylko przy budowach już rozpoczętych, ale również w przygotowaniu tych, które zaplanowano do realizacji. Np. nie ma jeszcze terenu przygotowanego pod inwestycje POLITECHNIKI ŁÓDZKIEJ, które zaplanowano na przyszły rok. Wcześniej ustalone terminy przeprowadzki PWN i oddziałów niektórych zakładów przemysłu lekkiego nie zostały dotrzymane.

■ PILICA ZMIENIA KORYTO. Dobiega końca budowa tamy w Smardzewicach. W najbliższych dniach przegrodzi się koryto rzeki i skieruje się ją do nowego, aby w przyszłości poruszała turbiny elektrowni, a jednocześnie, aby ze zbiornika można było czerpać wodę dla Łodzi.

Przyszłe „Sulejowskie morze" budzi już powszechne zainteresowanie. Przygotowuje się plan urządzeń rekreacyjnych, jakie powstaną na jego brzegach. Latem na terenie przyszłego zalewu przebywali studenci z kół naukowych, którzy prowadzili tam różnorodne badania naukowe.

■ MILION W PABIANICACH. W Pabianicach wybudowano i oddano do użytku mieszkańcom milionowy metr powierzchni mieszkaniowej w spółdzielczych mieszkaniach. W województwie łódzkim działa 25 spółdzielni, a w mieszkaniach spółdzielczych mieszka 21,6 tys. rodzin. Pierwsze mieszkania oddano spółdzielcom w 1958 roku. Milionowy metr mieszkania spółdzielczego wybudowano i przekazano w największej spółdzielni w województwie — w PABIANICKIEJ SPÓŁDZIELNI MIESZKANIOWEJ.

■ SUKCESY. — Przedsiębiorstwo handlu zagranicznego „Textilimpex" odniosło dwa sukcesy na jesiennych targach w Lipsku. Złote medale przyznano dla dwu wyrobów z lnu.

— Z serdecznym przyjęciem spotkali się we Francji członkowie zespołu pieśni i tańca z Zakładowego Domu Kultury „CHEMIK" w Tomaszowie Mazowieckim. „Piliczanie" występowali we Francji pod nazwą „Wistom". Przebywali tam miesiąc w ramach umowy o polsko-francuskiej wymianie kulturalnej.

— Z wielkim zainteresowaniem spotkał się udział polskich twórców na Festiwalu w Edynburgu. Muzeum Historii Włókiennictwa w Łodzi pokazało gobeliny, a ekipa łódzkiej „szkoły filmowej" — dorobek Warsztatu Formy Filmowej.

■ NOWY SEZON TEATRALNY. Łódzkie teatry poinformowały o swoich zamierzeniach repertuarowych na nadchodzący sezon. Lista propozycji repertuarowych jest dość bogata, ale — jak to już bywało — dopiero praktyka pokaże, co z tego widz zobaczy na scenie. W każdym razie przygotowuje się sztuki z repertuaru klasycznego, a także sztuki pisarzy radzieckich w związku z obchodami 50 lat Związku Radzieckiego. Dla amatorów lżejszego repertuaru przygotowuje się musicale i komedie.

Z nowymi propozycjami wystąpiła też „ESTRADA ŁÓDZKA". W nowym sezonie pragnie ona zajmować się nie tylko rozrywką, ale również przygotować widowiska literackie. W zamiarach „Estrady Łódzkiej" są też krótkie widowiska satyryczne, które można byłoby prezentować w zakładach pracy. Nowy program przygotowuje kabaret „Kpiarz", Mają powstać i inne kabarety.

Wszystko to są bardzo interesujące zapowiedzi. Czekamy niecierpliwie na ich realizację. Oby tylko nie skończyło się na ambitnych planach.

■ GEJZER POD ZGIERZEM. Przed 10 laty, w 1962 roku, w czasie poszukiwań brunatnego węgla na wysokość 20 m trysnął gejzer ciepłej wody mineralnej. Specjaliści utrzymują, że ma ona 35 stopni C i zawiera bogate składniki mineralne. Niedawno ponownie w Rogoźnie pod Zgierzem wytrysł gejzer ciepłej wody mineralnej. Stało się to za przyczyną Kieleckiego Przedsiębiorstwa Geologicznego. Prowadzi się obecnie badania nad wydajnością i jakością wody. Miejmy więc nadzieję, że w niedługim czasie będziemy dysponowali własną wodą mineralną. Być może wtedy już nie zabraknie jej nie tylko na stołach restauracyjnych, ale również domowych. Na razie bowiem mamy tylko reklamę różnych wód mineralnych.

Mamy też reklamę „Coca Coli", ale napić się jej nie można. Na szczęście upały są już tylko wspomnieniem. Są jednak ludzie, którym napoje orzeźwiające są stale potrzebne.

■ KTO NIE WIERZY W JESIEŃ? Ludzie jeszcze zastanawiają się, czy to już naprawdę jesień? A może jeszcze wróci lato? Kto nie wierzy w nadejście jesieni, temu przypominam notatkę z „Głosu Robotniczego", w której informuje się Czytelników o jesiennych wędrówkach... łosi. Jeden z nich pokazał się niedawno w pobliżu ul. Aleksandrowskiej. A więc nie ma już złudzeń. Mamy jesień.

M. RODAK

W dniach 25—28 września odbędzie się w Łodzi II Ogólnopolskie Sympozjum Filmu Naukowego i II Festiwal Filmów Dydaktycznych. Imprezę zorganizowano po raz pierwszy przed dwoma laty z inicjatywy naukowych i twórczych środowisk Łodzi.

FILM I NAUKA

Ewa Nurczyńska

Gwarancją jej stałości jest fakt istnienia w Łodzi dwóch filmoznawczych placówek badawczych PWSTTviF i Katedry Teorii Literatury, Teatru i Filmu UŁ, głębokie zainteresowanie problemem filmu naukowego i dydaktycznego łódzkich wyższych uczelni i Kuratorium oraz działalność Wytwórni Filmów Oświatowych i oddziału „Filmosu". Władze miasta i województwa poparciem i udzieleniem wszechstronnej pomocy wyraziły swe stanowisko w sprawie uznania łódzkiego Sympozjum i Festiwalu jako imprez stałych, w najbliższej przyszłości mających szansę uzyskania profilu międzynarodowego.

Łódzkie Sympozjum i Festiwal trzeba jednak traktować szerzej jako swoiste signum temporis, **dowód przeobrażeń w dotychczasowych systemach kształcenia i wychowania, dowód poszukiwań nowoczesnych form dydaktyki i szeroko rozumianej edukacji. W pojęciu edukacji społecznej kryją się bowiem ogromne obszary dydaktycznego i wychowawczego działania, wśród których czas niepoślednie miejsce wyznaczył filmowi i telewizji.** Łódzkie spotkania ludzi nauki, dydaktyków, realizatorów i dystrybutorów są okazją nie tylko do podsumowywania i ocen obecnego stanu filmu oświatowego w Polsce, traktować je trzeba jako moment określania dróg działania na przyszłość najbliższą i tę perspektywiczną.

Uczestniczymy dziś wszyscy w dyskusji wokół spraw oświaty w Polsce, czekają nas czasy wielkich reform, które, chyba po raz pierwszy, staną się dowodem nowoczesnego pojmowania edukacji. Jednym z jego kierunków będzie bez wątpienia włączenie w procesy edukacyjne i badawcze środków audiowizualnych, których wpływ na efektywność działania jest sprawą nie podlegającą dziś żadnej dyskusji. Sprawy najwłaściwszych form tak realizacji, jak rozpowszechniania i wykorzystania filmu — to jeszcze dziś w Polsce sprawy otwarte, stąd też wynikają nasze nadzieje związane z wynikami obrad i wnioskami tegorocznego Festiwalu i Sympozjum.

Złożoność problemu wynika z faktu, iż pojęcie — film oświatowy, to jego trzy podstawowe gatunki, a więc: film naukowy, dydaktyczny i popularyzujący wiedzę. Każdy z nich ma swoje określone uwarunkowania, cechy i zadania, każdy wymaga przemyśleń osobnych. Wyliczmy zatem kilka, zdaniem naszym, najistotniejszych.

To, iż stan filmu oświatowego jest dziś w Polsce niezadowalający, wynika m. in. z pewnych podstawowych, a obowiązujących w naszym kraju organizacyjnych rozwiązań. Jego specyfika decyduje o tym, iż **główna baza produkcyjna oraz decyzje programowe i dystrybucyjne należą do Ministerstwa Kultury i Sztuki, głównymi zaś zleceniodawcami i odbiorcami są określone resorty, np. Ministerstwo Oświaty i Wychowania czy Ministerstwo Rolnictwa. Taka organizacja nie wyprowadzi filmu oświatowego na szerokie drogi. Dla kinematografii ten rodzaj filmu jest najmniej rentowny, będzie zawsze pewnym marginesem działalności — dotyczy to zwłaszcza filmu stricte naukowego czy dydaktycznego. Większe szanse filmu popularnonaukowego łączyć dziś trzeba nie tyle z kinematografią co z telewizją.** Dowodem niechaj będzie na przykład fakt, iż pewne ostatnie inwestycyjno-organizacyjne decyzje NZK ograniczają operatywność WFO, planują jej rozwój nieproporcjonalnie mały wobec narastających zamówień na film oświatowy. W ostatnich latach nie zlecono WFO realizacji ani jednego filmu naukowego. Być może decyzje te wynikają z faktu, iż filmy dydaktyczne i naukowe mają szanse powstawać w innych wytwórniach, takich, jak np. „Czołówka" czy w Ośrodku Wytwarzania Filmów przy PZWL, że od kilku lat rozwija się w Polsce nurt filmu nieprofesjonalnego, filmy realizuje się w wyższych uczelniach i instytutach badawczych.

Warto tu jednak zwrócić uwagę na niedomagania merytoryczne i organizacyjne z faktami tymi związane. Jak dotychczas, filmy powstające w sposób nieprofesjonalny odznaczają się, raczej **małą doskonałością warsztatową i techniczną, a co więcej, powstają w jednej kopii, co ich rozpowszechnianie czyni niemożliwym.** Nie istnieje także żadna ustalona forma informacji i wymiany filmów między uczelniami. Ilość filmów dydaktycznych dla wyższych uczelni jest przy tym znikoma, nie zorganizowano również form zakupu czy wymiany filmów dydaktycznych z innymi krajami, nawet z naszego obozu. Jednocześnie sygnalizowane są coraz silniej zamówienia na ten rodzaj filmów.

Jak rozwiązać w sposób najszybszy problem wyposażenia uczelni w filmy dydaktyczne, skoro trudno liczyć, by dotychczasowe formy ich produkcji zaspokajały zapotrzebowanie. Trudno wymagać, a takie tendencje swego czasu też się pojawiły, by pracowników nauki uczynić jednocześnie ludźmi kamery. Realizacja filmów z czystej tylko pasji, przy niezwykle ograniczonych środkach finansowych poszczególnych uczelni czy placówek badawczych, przy braku wykwalifikowanej kadry, wydaje się formą nie do przyjęcia, jeśli chce się serio mówić o uczynieniu z filmu jednej z ważkich pomocy dydaktycznych. Kinematografia w dotychczasowych formach działająca tych potrzeb nie zaspokoi również.

Pozwalamy sobie przedstawić w tym miejscu projekt, o którym coraz częściej się mówi właśnie wśród ludzi nauki i dydaktyki. Postawmy pytanie, **czy jest rzeczą niemożliwą wypracowanie modelu filmowego ośrodka międzyuczelnianego?** Jego miejsce widzieć można przy powoływanych w najbliższym czasie przez Ministerstwo Nauki, Techniki i Szkolnictwa Wyższego — **regionalnych Ośrodkach Naukowych. Połączenie w jednym miejscu środków finansowych i rozproszonej dotychczas bazy produkcyjnej wszystkich wyższych uczelni miasta, zatrudnienie zawodowych realizatorów filmowych daje chyba w tej chwili szansę ruszenia z martwego punktu sprawy filmu naukowego i dydaktycznego dla studentów. Programowanie i merytoryczne opracowanie tych filmów będzie oczywiście, sprawą naukowców i dydaktyków.** Zwróćmy uwagę, że w tych warunkach materiał zdjęciowy będzie mógł być wykorzystany wielokrotnie — nie tylko jako zapis naukowy czy dokumentacyjny, nie tylko jako pełny film dydaktyczny. Materiały te można będzie wykorzystać dla niezwykle cennych w dydaktyce przeźroczy, a ich krótkie wycinki można z odpowiednio dostosowanym komentarzem wykorzystać na różnych poziomach nauczania. Sprawa rozpowszechniania powstających w międzyuczelnianych ośrodkach filmów wśród innych placówek wydaje się rzeczą możliwą. **W Łodzi zaplecze naukowe i techniczne (kadry PWSTTviF, WFO, laboratoria itp.) stwarzają szczególnie dobre warunki dla podjęcia tej inicjatywy.**

Sprawom filmu dla uczelni wyższych poświęciliśmy w naszych rozważaniach, nie bez kozery, szczególnie dużo miejsca, gdyż sytuacja w filmie popularyzującym wiedzę i dydaktycznym dla szkół niższych szczebli jest korzystniejsza, co nie znaczy jednak, że jest dobra. Film popularnonaukowy i film szkolny przeżywa niewątpliwie od kilku lat okres stagnacji. Rośnie na nie zapotrzebowanie, a jednocześnie dostrzega się niedobory tematyczne, a także pewien zrutynizowany, jak się wydaje — schematyczny, sposób realizacji. Film nie nadąża, często z racji technicznych, za ogólną rewolucją naukowo-techniczną, nie dociera tam, gdzie dociera nauka. Nie bez znaczenia jest prymitywny, wobec potrzeb, sprzęt, jakim posługiwać się mogą nasi realizatorzy. **Przyczyn słabości, zwłaszcza filmu popularyzującego wiedzę, należy chyba również szukać w żenującym często poziomie komentarza, który przy prezentacji zjawiska upraszcza ponad potrzebę sens obrazu.** Racjonalne pogłębienie współpracy realizatorów zarówno filmów dydaktycznych jak i popularnonaukowych z ludźmi nauki i dydaktykami, jest to sprawa, którą trzeba już szybko i bardzo serio traktować. Rzeczą zdumiewającą jest również fakt, że właściwie nie podjęto do tej pory w Polsce badań nad jakością, wykorzystaniem i efektywnością filmu dydaktycznego.

Z konieczności sygnalizujemy tu tylko wybrane problemy interesującego nas zagadnienia. Poza rozważaniami zostawiamy tu sprawy dystrybucji tych filmów i wymiany z zagranicą, choć o ich wadze pamiętamy. Interesuje nas jednak przede wszystkim generalna koncepcja programowania i realizacji filmów dydaktycznych dla wszystkich szczebli nauczania. Być może, że przedstawiony wyżej projekt realizowania filmów dla wyższych uczelni w ośrodkach międzyuczelnianych jest propozycją tylko przejściową. Być może **należałoby myśleć o centralnej instytucji edytorsko-produkcyjnej, która wykorzystując wszystkie dotychczasowe moce produkcyjne, zajęłaby się programowaniem, realizacją i rozpowszechnianiem filmu dydaktycznego i innych pomocy audiowizualnych. Na pewno można by dyskutować potrzebę specjalizacji poszczególnych wytwórni filmowych, widząc określony profil WFO, czy katowickiego Ośrodka Postępu Technicznego. Warto by chyba już myśleć o przyszłości filmu dydaktycznego, mając na uwadze zapis na taśmie magnetycznej i jego rozpowszechnianie poprzez videokasety. Problemów i to niełatwych, jest moc, a prezentacja choćby tylko kilku, ujawnia brak w naszym kraju porozumień podstawowych, brak koordynacji działań, a przede wszystkim koncepcji generalnej.**

Sądzić należy, że dopóki resorty najbardziej sprawą zainteresowane, a więc resorty oświaty i nauki i wszystkie te, dla których film stanowi również narzędzie dokumentacji, a także doskonalenia kadr, nie wyrażą swego stanowiska, nie podejmą zasadniczych decyzji, film naukowy i dydaktyczny pozostanie nadal niekochanym dzieckiem polskiej kinematografii, a dydaktyka audiowizualna będzie nadal futurologią. **Mamy nadzieję, że łódzkie Sympozjum i Festiwal zapoczątkują generalną odnowę sytuacji filmu naukowego i dydaktycznego.**

SZANOWNY
PANIE REDAKTORZE!

Donoszę Panu, że tak samo inny „bełkotliwy" wstęp popełniłem raz jeden, do katalogu wystawy indywidualnej Pana Redaktora Andrzeja Gruna. Ocenę Jego twórczości, eksponowanej w... Reszlu, pragnę poświęcić oddzielny szkic krytyczny. Społeczna użyteczność powyższego, być może, zrewiduje pogląd na niektóre zagadnienia artystyczne w naszym GRODZIE.

Pozwoli Pan, że wyrażę publicznie mój zachwyt: otóż, jestem Panu Redaktorowi Andrzejowi Grunowi bardzo wdzięczny, że z imponującą erudycją czytał — na różne sposoby — ten sam — mój tekst; i ogłosił drukiem w czasopiśmie „ODGŁOSY" nr 34/770.

Nie będę dementował poszczególnych nieścisłości i wypaczeń moich intencji: verba non sunt vebera. Spieszę uzupełnić jeszcze, że moja „refleksja teoretyczna" zasadza się na mikroobserwacji konkretów i opisie realiów zdecydowanie reflektyjnie — typu poetyckiego (tytuł publikacji: „FRESK O IRENEUSZU OLSZEWSKIM" nakład 250 egz., afabularnego, z luźnym, opartym na skojarzeniach monologiem jako zasadą — organizującą tę intymną wypowiedź.

Sprowokowana przez okoliczność próba „reanimacji" mojego tekstu na łamach Pańskiego Pisma tłumaczy się tylko, jedynie kompleksem pogrzebanej przeszłości. W konfrontacji poglądów — nie pragnę odmiany swego losu.

Wywołanie „duchów przeszłości" niech przyczyni się do awansu naszego „teoretyka plastyki" (partyzanta), do podniesienia Jego ogólnego wykształcenia determinującego — ponad wszystko — Jego dalszą egzystencję.

Pozostaję z poważaniem

ANTONI SZRAM

Z równie „imponującą erudycją" i „na różne sposoby" czytałem powyższy list Pana Magistra Antoniego Szrama i pragnę — w przeciwieństwie do jego autora — zdementować kilka poszczególnych nieścisłości i zapobiec wypaczaniu moich intencji. Rzeczywiście, Pan A. Sz. napisał tekst do druku, który ukazał się w związku z moją wystawą grafiki w łódzkim Klubie Dziennikarza w 1968 roku, jednakże ujrzał on światło dzienne dopiero po przeprowadzonym przeze mnie zabiegu zwanym korektą, co nastąpiło zresztą za wiedzą i wyraźną zgodą jego autora. Nie będę odwodził Pana A. Sz. od pomysłu napisania oddzielnego szkicu krytycznego o mojej twórczości „eksponowanej w... Reszlu" i jej społecznej użyteczności, przeciwnie, ciekaw jestem jej bardzo, jako że Pan A. Sz. o ile mi wiadomo, owej ekspozycji nie oglądał na oczy. Natomiast pragnę zwrócić uwagę, iż ironiczne czy lekceważące odnoszenie się do wystaw (jakichkolwiek wystaw) w tzw. terenie, czyli w małych, prowincjonalnych galeriach nie jest społecznie użyteczne, postponuje inicjatywy ludzi dobrej woli, jest sprzeczne z naszą polityką kulturalną, zmierzającą do jak najszerszego upowszechnienia plastyki, nie mówiąc już o tym, że nie licuje z postawą humanisty. Tak na prowincji jak i w... Warszawie są wystawy dobre i złe. Ocena ich poziomu artystycznego jest sprawą recenzentów. Nikt jednak nie powinien negować ich społecznej przydatności.

Co zaś się tyczy „wywoływania duchów przeszłości", to traktowałem Pana A. Sz. jako osobę fizycznie żywą, działającą aktualnie — tylko dlatego powstał mój artykuł i nie przypuszczam, abym z tego powodu jakowychś awansów miał dostąpić. Natomiast jeśli moja działalność jako publicysty kulturalnego i recenzenta plastycznego (czyli „teoretyka plastyki") oceniana jest przez Pana A. Sz. jako partyzantka, to jego działalność na tymże polu (idąc dalej drogą porównań) wypada mi ocenić jako zwykłe kłusownictwo. Sprawy współczesnej plastyki i kultury w ogóle są dostatecznie pogmatwane, aby wprowadzać w nie niefrasobliwie dodatkowo jeszcze elementy zasadzające się na „refleksjach teoretycznych", „mikroobserwacji konkretów" i afabularnych monologach.

Na zakończenie chciałbym wyjaśnić, iż żadnych kompleksów — jak na razie — nie posiadam. Ani kompleksu Edypa, ani kompleksu Safony, ani kompleksu Wicka i Wacka — taka już moja konstrukcja psychiczna.

Z głębokim szacunkiem

ANDRZEJ GRUN

OBYWATEL
REDAKTOR NACZELNY

W związku z artykułem pt. „Wyż toksyczny" redaktora Stefana Prażmowskiego, zamieszczonym w tygodniku „Odgłosy" nr 32, z dnia 6 sierpnia 1972 r., Zarząd Aptek m. Łodzi pozwala sobie przedstawić swój punkt widzenia na poruszone zagadnienie.

Zdaniem naszym, właściwym i korzystnym zjawiskiem jest poruszanie spraw narkomanii, toksykomanii i lekomanii na łamach prasy w aspekcie wskazywania na zgubne skutki stosowania środków odurzających czy nadużywania leków w ogóle, natomiast wskazywanie sposobów zdobywania środków odurzających uważamy za wręcz niepotrzebne, a nawet niebezpieczne dla fachowych pracowników aptek. Farmaceuci aptek łódzkich od prawie dwóch lat włączyli się czynnie do walki z narkomanią i mają wiele przykrości z tego tytułu od narkomanów, jak też i uwag ze strony aparatu ścigania przestępstw. Informacje zawarte w cyt. artykule niweczą wiele przeciwdziałań podjętych w aptekach w walce z problemem narkomanii.

Uwagi nasze prosimy przyjąć jako wyraz troski farmaceutów o zapobieganie stosowania tych zgubnych środków przez społeczeństwo, a szczególnie przez młodzież.

Z-CA DYREKTORA
DO SPRAW APTEK
MGR J. LECH-SKUBIŃSKA

REDAKCJA TYGODNIKA
„ODGŁOSY"

W związku z artykułem zamieszczonym w 32 numerze tygodnika „Odgłosy" z dnia 6 sierpnia 1972 r. pt.: „Sztuka i łyk" informujemy:

Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Łęczycy kilkakrotnie szczegółowo analizowało na posiedzeniach potrzeby związane z rozwojem kultury w powiecie, a przy tym i konieczność znalezienia pomieszczeń dla potrzeb Powiatowej Komisji Poborowej.

Okazało się, że możliwości w tym względzie w mieście Łęczyca nie ma i ostatecznie zmuszeni byliśmy wyrazić zgodę na pracę Komisji Poborowej w Powiatowym Domu Kultury.

Nadmieniamy, że ze względu na ograniczoną ilość pomieszczeń w tej placówce wyłączenie wspomnianej w artykule sali dla potrzeb wystawowych było niemożliwe, gdyż jedynie ta sala spełnia wymogi do przeprowadzania badań lekarskich.

Obecnie w ramach przeprowadzanego remontu w PDK przystosowano jedną salkę dla urządzania wystaw. Podczas tegorocznych Dni Oświaty, Książki i Prasy w salce tej staraniem kierownictwa PDK wspólnie z Biurem Wystaw Artystycznych w Łodzi, urządzono wystawę rysunku artysty plastyka Stanisława Staniewskiego.

Informujemy także, że czynione są starania dobudowy budynku administracyjnego Prezydium PRN, w którym przewiduje się pomieszczenia dla potrzeb Powiatowej Komisji Poborowej.

PREZYDIUM
POWIATOWEJ
RADY NARODOWEJ
W ŁĘCZYCY

Dalszy ciąg ze str. 1

Nieprawdą jest to, co napisałem w jednej z moich fraszek, że nie zazdroszczę niczego, tylko młodej, pięknej dziewczyny prowadzonej przez bubka pod rękę. Zazdroszczę i jak jeszcze, gdy widzę kosz pełen grzybów. Namiętnie lubię zbierać grzyby (nie jeść, ale i jeść). Moja biografia byłaby przeto niepełna, gdybym nie oddał grzybom tego, co im się należy.

Grzyby. Przez jakiś czas kochałem może równie silnie marionetki, ale potem z różnych przyczyn, których nie zamierzam tu wyłuszczać, marionetki mi zbrzydły. Zostały na placu tylko grzyby.

O obu tych moich pasjach wiedział Julian Tuwim, a ponieważ lubił maniaków, więc podsycał jak mógł moją grzybową pasję, darząc mnie książkami o teatrze lalek i atlasami grzybowymi.

Grzyby! Pasja wcale nie tak niewinna jakby się zdawało. Przez kilka dni uczył mnie prof. Teodorowicz, słynny uczony w grzybowym fachu i w ostatnich chwilach tuż przed śmiercią zdradził mi niejeden z grzybowych sekretów.

Grzyby nie są pasją wcale a wcale bezpieczną. Niejeden już zapłacił za nią swoim zdrowiem a czasem i życiem. Dlaczego? Obok grzybów pięknych i smacznych jest wiele trujących. Co gorsza, że czasem trujące z temperamentem imitują te dobre. Szatany i diabły uprawiają namiętnie imitowanie aniołów i archaniołów. I tak borowik, czyli prawdziwek ma swego imitatora... szatana, rydz o różowym soku z lekka osławionego i białomlecznego rydza. Na szczęście tylko lekko trującego. Najgorszy jest naśladowca, niecny naśladowca pieczarki — muchomor. Równie biały jakby szedł do pierwszej komunii, z niewinną dziewiczą miną tak znakomicie udaje pieczarkę, że trzeba mu się dobrze przyjrzeć, albo go powąchać, aby go zdemaskować. Tego białego wcale nie muchomora, ale prawdziwie ludomora, nazywają śmiercią leśną. Wielu ludzi umierało przez niego w boleściach strasznych. Sowa, kania, parasol, dziesiątką nazw nazywana podobna jest do innego muchomora. Syn mój kiedyś pomylił się i przyniósł mi tego mordercę. Zadrżałem, co by było, gdyby znalazł go pod moją nieobecność i nieopatrznie się nim uraczył.

Wśród morderców grzybowych są różne rodzaje. Znany każdemu dziecku czerwony muchomor w białe kropki jest mordercą nader sympatycznym, bo po pierwsze jest piękny, a po drugie już z daleka ostrzega swym wyglądem. „Jestem mordercą, ręce precz ode mnie". Może się nim zatruć chyba ktoś, kto siedmiokroć próbuje go spożyć.

Najgorsi mordercy są, oczywiście ci, których się jada, a którzy w pewnych okolicznościach a czasami także tylko dla pewnych osób są niebezpieczni. Jest taki majowy grzybek razem ze smardzami witający wiosnę, który od czasu do czasu kogoś otruje. Nazywa się piestrzenicą jadalną. Do niedawna był sprzedawany na targach i podobno nadal wysyła go się za granicę jako produkt eksportowy. Grzybem tym otruła się kiedyś cała rodzina. Źle mówię cała, bo wprawdzie niektórzy poumierali, ale inni członkowie, którzy też go jedli, tylko się pochorowali a innym nie było nic.

Prześliczny kozak, ten z czerwonorudą główką jest chyba jeszcze gorszy. Wszyscy go zbieramy, jemy — adorujemy. Jego czerwień przelewa się z kapelusza na nóżkę... i doprawdy jest czarujący! Kiedyś słynny profesor Wodiczko zapytał profesora Teodorowicza czy może go jeść. Tu pokazał na grupkę kozaków, które właśnie nazbierał. Ależ tak — odpowiedział mu prof. Teodorowicz. — To grzyb jadalny w Polsce. I wysypał cały szereg jego nazw regionalnych. Krawiec, babka, podosinnik, osikacz! Profesor Wodiczko zjadł ze smakiem i z całą ufnością w diagnozę hyper znawcy. I co się okazało! Wprawdzie się nie otruł na amen, ale się zatruł. Profesor T. jeszcze raz wziął do rąk grzybka (nie wszystkie przyrządzono) oskarżonego o usiłowanie dokonania

GRZYBY...

morderstwa i dopiero pod mikroskopem stwierdził, że spory mordercy są różne od zwyczajnych.

Tę wiadomość zaczerpnąłem z listu prof. Teodorowicza wysłanego do mnie ze Staniątek, gdzie przebywał w czasie ostatniej wojny. Profesor, wielki miłośnik tego grzybka, prosił mnie, abym tego nie publikował! To nie ma w praktyce żadnego znaczenia. Zdarza się to tylko raz na milion. I nie trzeba do niego ludzi zniechęcać. Sądzę, że profesor nie ma racji. Podobnie, jak ludzie grając w loterię wierzą, że wygrają milion, tak i wśród konsumentów tego boletusa może się znaleźć milioner.

Po rewelacjach profesora nie zrezygnowałem wprawdzie ze zjadania tego grzybka, tyle lat jadłem go bezkarnie. Ale zawsze teraz zjadam go w minimalnych dawkach i z niezłą porcją emocji. A nuż zostałem milionerem.

Jest prześliczna książka prof. Teodorowicza „Dziwy świata grzybowego" tam znajduje się opis nader osobliwego wypadku. Profesor Teodorowicz stwierdził, że pewien kelner w restauracji na Sołaczu w Poznaniu jest dziwnie melancholijny. Zaczął coś podejrzewać. Czy on przypadkiem nie jest amatorem tak zwanego truflowego sosu? Ależ tak, oczywiście. Co dzień się raczy tą pieczenią i tym sosem. Ta truflowa pasja doprowadziła nieszczęsnego kelnera do śmierci. Musiała doprowadzić. Być może kościół odmówił mu katolickiego pogrzebu, nie wiedząc, że padł ofiarą grzybka.

W Polsce nie ma trufli. Trufle kopie się we Francji. Rosną one pół metra pod ziemią, a do polowania na nie zabiera się tresowane specjalnie psy i świnie o zakneblowanych ryjach (boby same chętnie skonsumowały smakołyki). To co jadamy w Polsce jest purchawką tzw. ziemniaczaną. (Po niemiecku Kartofelbovist, po łacinie scleroderma vulgare) jest skrytobójcą. Dwie całe purchawki tego typu, gdyby zostały zjedzone, spowodowałyby zatrucie, jadane stale wiodą prostą drogą do melancholii i śmierci.

Muszę się przyznać nie bez wstydu, że ja sam naraziłem znajomych na zatrucie. A jak się stało opowiem. Na łąkach wrocławskich rosną jasienią grzyby, które poleżawszy sobie dłużej na talerzu zamieniają się w atrament. Fredro tym atramentem pisał swe komedie. Otóż grzybki te (jest ich kilka gatunków) są zdecydowanymi przeciwnikami alkoholu. Wypicie szklanki piwa wystarczy, aby się zatruć. Nie wiedząc nic o tym, że to Coprinusy są sprzymierzeńcami doktora Marcinkowskiego w walce z alkoholem, poleciłem je znajomym. Jedli te grzybki jako zakąskę pod wódkę i... odchorowywali. Kiedy w pewnym atlasie grzybowym wyczytałem o tym antyalkoholizmie coprinusów, wysłałem list express z ostrzeżeniem, niestety, znajomi już sami na własnej skórze o tym się przekonali. Profesor Teodorowicz zupę z tych grzybów zaleca ozdrowieńcom i barwnie opisuje, jak karmił nimi łabędzie na plantach w Krakowie. Łabędziom one nie zaszkodziły. Łabędzie nie pijają wódki.

Ale wracając do poprzednio omawianego mordercy, mordercy bez kapelusza (wszystkie inne grzybki-mordercy noszą kapelusze) do owej purchawki, do rozkrojonego ziemniaka podobnej, a truflą niesłusznie zwanej i jako takiej jadalnej. Cały wianuszek tych suszonych trufli wyrzuciłem memu przyjacielowi Wojciechowi Natansonowi. Juliusz Kaden Bandrowski poświęcił temu grzybowi całą nowelę, w której zastanawiał się, jeść czy nie jeść. A mój dziadek, ojciec matki, szeroko w mym wspomnieniu opiewany Karol Emeryk Kokowski, znał jedno, na szczęście tylko jedno miejsce w myślenickim lesie (pamiętam to miejsce do dziś dnia i mógłbym do niego trafić z zamkniętymi oczami). W miejscu tym od czasu do czasu pojawiała się wysoko przez dziadka oceniana kuleczka. To była ta właśnie purchawka ziemniaczana truflą zbyt zaszczytnie dla siebie zwana, zwykła ordynarna purcha. Już po wojnie na Nowym Świecie podano mi w restauracji, która bodaj nazywała się „Łowiczanka"... wyborną w smaku pieczeń. W sosie tryumfalnie pływały plasterki cienko pokrajanej tej pseudotrufli. Zjadłem nie bez strachu. Sos był istotnie smaczny a lekka zgaga, którą potem czułem przeszła po kilku godzinach. Ale co by tak było, gdybym zasmakował w pseudotruflowym sosie i co dzień, jak ów kelner na Solaczu, niczego nie podejrzewający, nią się raczył.

Profesor Teodorowicz, człowiek zarówno pobożny jak entuzjastyczny, klękał przed pierwszą pieczarką wyrosłą wiosną na łące. Całował ją. I modlił się w podzięce za cudowny stwór.

Przyznam się, że i ja niekiedy całuję prawdziwka, gdy go znajdę wyrosłego wyjątkowo pięknie, zdrowego i o główce ciemnoczerwonej. Te ciemnogłowe, pod sosnami rosnące, najbardziej mnie zachwycają.

Wnuczka moja, Dorotka, miała ukończone sześć lat, kiedy zaproponowałem jej wyciągnąwszy z mchu przepięknego grzyba, aby go pocałowała. Zaprotestowała natychmiast i mała przekora ucałowała... białą purchawkę. Wprawdzie bardzo pięknie kulistą, ale gdzie jej tam do króla grzybów, Boletusa edulis?!

Profesor Teo robił z grzybami przeróżne próby i doświadczenia. Twierdził, że rozmnażają się, tańcząc. Powolnym ruchem siewcy rozsiewając zarodniki.

Niejednokrotnie eksperymentując zatruwał się.

Jadał pieczarki na surowo, posypując ich różowe „majteczki" cukrem i twierdząc, że są lepsze od ananasów (próbowałem, przesada!).

Był skory obrażać się... gdy ktoś nie dość sobie cenił grzyby. I tak udzielił mi pełnego irytacji pouczenia, gdy nieopatrznie mu napisałem, że Dziadek mój schylił się po grzyba i zmarł. Wymieniając, oddając świat prawie za nic. Jak to, pienił się profesor, grzyb jest stworem wyżej zorganizowanym, ma nawet organa wydzielnicze. Rydz to ktoś a nie nic.

Stuliłem uszy po sobie i wysłuchiwałem pokornie tego, co mi miał do powiedzenia. Najciekawsza chyba ze wszystkich wiadomości była rewelacja, że lista grzybków istniejących wcale nie jest zamknięta. Kiedy rozpoczęto pić kawę, a fusy wylewać na kompost, zjawił się jak spod ziemi nowy grzyb „kawiarz", który dopóki tych fusów nie zaczęto wylewać, wcale nie istniał.

Aby udowodnić z jak szaloną siłą dąży grzyb do rozmnażania, opisał profesor w swoich „Dziwach" pieczarkę podnoszącą do góry kamień 300 razy od siebie cięższy, i muchomora, który zawieszony za nogę na sznurku, aby wysiać zarodniki, przekręcał swoje blaszki w dół (wyglądał wtedy jak parasol przez wiatr wywrócony podszewką do góry). Wieleż radości miała z tego powodu moja córeczka Ania. Z jaką powagą obserwowała gimnastyczne piruety grzybka.

Ostatni list, jaki otrzymałem od profesora nie tyczył wcale grzybów. Pisał mi, że poznał nauczycielkę o prześlicznych rękach i radził się, czy ma się z nią ożenić. Nim zdążyłem odpisać profesorowi, przyszedł list z klasztoru ze Staniątek. Zakonnice donosiły w nim, że profesor zmarł. Nie dowiem się chyba nigdy, czy zmarł ze smutku, bo nie przyjęto jego małżeńskiej oferty, czy też z nadmiaru radości. Obie te możliwości w jego wieku są równie prawdopodobne. W każdym razie miłość do grzybów była na pewno tym eliksirem młodości, który w przeddzień śmierci pozwolił mu jeszcze snuć plany matrymonialne.

O grzyby, grzyby czarodziejskie stwory, podobno zależne od Księżyca. Ileż zawdzięczam wam chwil prawdziwego szczęścia. Raj mojej Matki to jej kwiatowy ogródek, raj mego Ojca to muzeum pełne obrazów Malczewskiego, Hofmana, Wyczółkowskiego, Fałata i Matejki.

Mój raj — to zagajnik pełen grzybów.

JAN IZYDOR SZTAUDYNGER

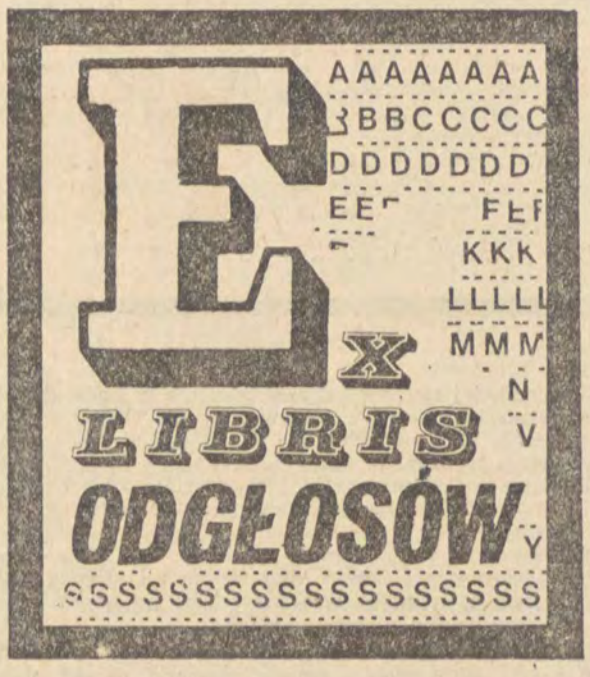

Saga rodziny Hauke

Stefan Majchrowski zdobył sobie pewną popularność wśród czytelników takimi książkami biograficznymi, jak „Pan Sienkiewicz" i „Pan Fredro". Nie łatwo napisać odkrywczo i ciekawie o tak znanych pisarzach, właściwie pomnikowych. Majchrowskiemu to się udało.

Tym razem jednak wziął za temat swojej nowej biograficznej książki szerzej nie znaną warszawską rodzinę Hauke. Ciekawy to ród, wywodzący się prawdopodobnie z Holandii, a upamiętniony w annałach wszystkich polskich powstań. Tłem tej powieści i tej rodziny są właściwie wszystkie znaczniejsze rody obcego pochodzenia, zapisane chlubnie w dziejach polskiej kultury i w dziejach walk o niepodległość.

Haukowie więc — pisze Majchrowski — nie stanowili wyjątku, lecz losy tej rodziny były niezwykłe. Już syn spolszczonego cudzoziemca — Maurycy — służył w Legionach, walczył w obronie Zamościa, a zginął w czasie Nocy Listopadowej. Julia Hauke, którą odnaleźć można w „Królewskich karierach warszawianek" St. Szenica, skoligacona była z panującymi rodami, wnuczki jej zasiadały na tronach: hiszpańskim i szwedzkim, a dziś jej praprawnuk jest... następcą tronu angielskiego. Oto próbka fantastycznych losów tego rodu.

„Rodzinę Hauke" napisał Majchrowski z właściwą sobie lekkością, przyznając się zresztą otwarcie, że chciał nadać całości charakter „książki dla czytelnika". I słusznie. Temat bowiem zasługuje na jak najszerszą popularyzację.

J. W.

Stefan Majchrowski, „Rodzina Hauke", Wyd. „Czytelnik" 1972, cena 21 zł.

Życie w Mediolanie

W przedmowie do włoskiego wydania książki Guareschi'ego pt. „Odkrycie Mediolanu" napisano, że autor miał niezwykły talent bycia najlepszym. A kim on nie był? Był dziennikarzem, pisarzem, rysownikiem, malarzem, cieślą, szewcem i muzykiem. I zawsze był najlepszy.

Nie wiem, ile w tym stwierdzeniu jest kpiny i ironii, ile prawdy. Ale Guareschi, pisząc „Odkrycie Mediolanu" nie poskąpił ani jednego, ani drugiego. W efekcie dał czytelnikowi zbeletryzowany pamiętnik parmeńczyka Giovannino.

Bohater „Odkrycia Mediolanu" przechodzi na kartach powieści różne koleje losu. W poszukiwaniu pracy udaje się do Mediolanu i odkrywa to miasto dla siebie i czytelnika. Żeni się, kupuje samochód, robi karierę, zostaje ojcem, przeżywa wojnę. Czytelnik poznając dzieje parmeńczyka, który odkrył Mediolan, poznaje też życie Włoch, począwszy od 1926 roku do roku 1940. Jest to obraz Italii malowany barwnie, soczyście i ze znaczną dozą drwiny. Postacie występujące na kartach powieści, choć czasem ledwie zarysowane, są przecież żywe i autentyczne i budzą sympatię mimo, że autor traktuje je często z dużą dozą ironii.

Z sympatią towarzyszy czytelnik perypetiom pary głównych bohaterów: Giovanniniemu i Margherice. Ich przeżycia opowiedziane z humorem, żywo i potoczyście stanowią pyszną zabawę. Czytelnik może słusznie podejrzewać, że autor pisząc tę powieść sam pysznie się bawił. Inaczej nie wymyśliłby ostatniego pośmiertnego rozdziału, w którym Giovannini występuje jako... duch wędrujący po odkrytym przez siebie Mediolanie.

B. M.

Guareschi, „Odkrycie Mediolanu", IW „Pax", Warszawa 1972, str. 183, cena 16 zł.

Polacy w Anglii

Ewa i Zbigniew Bonieccy napisali książkę o Polakach na Wyspach Brytyjskich. O tych, co walczyli o brytyjskie niebo w latach ostatniej wojny, o marynarzach w Plymouth i Tilbury, o niełatwych karierach, o „polskiej" Szkocji i Walii, o pani Helenie Sikorskiej wreszcie.

Jest ta książka nasycona informacją w sposób niebywały i myślę, że to jej największy walor. Ale przecież Bonieccy stawiają również pytania. Próbują odpowiedzieć, czy Polak może zostać Anglikiem, czy łatwa jest asymilacja w hermetycznym, jak rzadko, środowisku angielskim? Książka mówi nam, jak nasi rodacy na Wyspach Brytyjskich wyglądają w oczach Anglików, jak wrastają w ten obcy grunt.

Pozornie nie jest ich wielu. Brytyjskie statystyki z roku 1961 podają, że w Anglii mieszka 127.246 osób, które urodziły się na terenie Polski. Piszę — pozornie, bowiem Anglicy uważają, iż emigrantem można być z wyboru, nie można natomiast się nim urodzić. Nie wiemy więc dokładnie, jak liczne jest drugie pokolenie wojennej (głównie) emigracji. Ale i o tych sprawach piszą Bonieccy w swej ciekawej książce, która powstała z dziennikarskich peregrynacji w latach 1966—1970. Jest to więc obraz najświeższej daty. To także walor tej pionierskiej pracy.

J. W.

Ewa i Zbigniew Bonieccy, „Polskie spotkania na Wyspach Brytyjskich", Wyd. Interpress 1972, cena 30 zł.

Dalszy ciąg ze str. 1

tylko odczucie, impresyjka, ale fakt psychologiczny. Jak jeden dziennikarski gwiazdor metaforycznie napisał, że tutejsza kadra jeszcze 10 lat temu krowy pasała, to kadra przyszła do dyrektora, żeby list z protestem wyrąbał: że nie krowy paśli, a technika i uczelnie kończyli. I żeby z nich chłopków-nieroztropków nie robiono.

Rok był sześćdziesiąty pierwszy, wrzesień. Dzień na szczęście pogodny tak, że mogło to przypominać turystyczną wyprawę w nieznane, dla zabawy, dla hecy. Ale na peronie stały dwie chude walizki, kontrakt w szkole był podpisany, załatwiony przydział mieszkania — na dwa lata, staliśmy się z żoną praszkowiakami, z łaski ślepego przypadku.

Tak więc stojąc teraz na dachu kotłowni, skąd jak z wysokiej wieży jest doskonały widok na plac budowy i całą Praszkę, stoję jakby o krok od siebie tamtego z peronu, na którym jeszcze patronuje stary napis ZAWISNA, czuję, jaka między n a m i jest wielka odległość nie tylko w czasie, ale i to, jaki krok olbrzyma uczyniło to miasto. I chociaż napatrzyłem się w tym kraju na tyle wielkich budów, na to rozwalanie i budowanie, i niczemu już się właściwie nie dziwię, to mnie ten widok wziął jak w stalowe kleszcze i trzymał za gardło siłą wzruszenia i niekłamanego zachwytu. Chociaż mam naturę zatwardziałego krytykanta i inkwizytora, ale jednocześnie uważam, że jak jest się czym zachłysnąć, to trzeba to zrobić aż do utraty tchu.

Cudów nie ma, prawda? Nie było ich również w Praszce. „Idziemy naprzód małymi kroczkami" — mówił mi w przeszłości taki jeden mądrala. Aż mnie skręcało od takiego gadania, ale tak było. Praszka dreptała w miejscu okrutnie długo, potem, po 57 roku drobiła powolutku, coś się zaczynało zmieniać. Robiono już filtry, niedługo na szczęście, bo stare buty przejął klucz, to znaczy przemysł motoryzacyjny i wzięto się za osprzęt. Firma więc była niezła: ZAKŁADY ELEKTROTECHNIKI MOTORYZACYJNEJ, szyld owszem, ale w środku chałupnictwo. Pożyteczne drobiazgi, migacze, trójkąty odblaskowe, lampy — drobnica, sieczka, z której przemysł musi korzystać, ale bzdurą byłoby, gdyby to sam produkował. Są od tego prawdziwi chałupnicy, spółdzielnie, które z tego żyją.

Uczepiłem się jak rzep tej przeszłości, ale chcę tylko udowodnić, że cudów nie ma, że koło tego chodzili konkretni ludzie i mieli dobrze poukładane w głowie, wiedzieli przy tym, czego chcą na dziś i czego chcą z myślą o przyszłości. Bo inaczej nie byłoby tej przyszłości, takiej, jaka się teraz materializuje.

Więc oni wyzbyli się tej drobnicy i porwali z motyką na słońce. To znaczy przechwycili od FSC, starachowickiego potentata, pompy wodne i olejowe. Teraz się już nie pamięta, jak było trudno. Inne trudności wyparły tamte, nie ta skala porównawcza. Ale to nie był kroczek naprzód, to już był skok, co prawda z miejsca, jeszcze bez rozpędu, ale już powyżej aktualnych możliwości. Był przede wszystkim sprawdzianem. Mogą, potrafią, stać ich na coś takiego, można zaufać i dać parę milionów. A zaczęło iść tak dobrze, że Zjednoczenie dało sto, okrągle sto milionów. I chociaż nie chciałbym przesadzać z liczbami, to te sto milionów mam ochotę napisać z dużej litery. Bo nie chodziło tylko o pieniądze, ale coś znacznie większego — o zaufanie!

Nie było już tak źle. W powiecie rządziła mądra władza partyjna, w Wieluniu było (i jest) najlepsze przedsiębiorstwo budowlane w województwie. Ówczesny dyrektor, inż. Henryk Sienkiewicz, już z mniejszą emocją wspomina tę batalię niż te pompy ze Starachowic i wcześniejsze kłopoty z organizacyjnym uporządkowaniem zakładu po nieudolnych poprzednikach. A to już był ten prawdziwy wielki skok, bez przesady. Nowoczesna hala ze szkła i stali o powierzchni przynajmniej dwóch boisk piłkarskich, maszyny importowane z całej Europy. Najwyższa precyzja, mikronowa dokładność, nowoczesna technologia i automatyka, naukowa organizacja pracy. To już był okres „Fiata", szło nadal dobrze: z wykonaniem planów produkcyjnych, nowych uruchomień, modernizacją starych oddziałów. Właściwie wszystko „grało", jak w zegarku, chociaż z dnia na dzień tak ładnie — ślicznie nie było.

Ludzie pracowali ciężko, zdzierali się, ale i rośli. Jedni szli w górę, awansowali, inni odpadali w tym biegu i musieli sobie szukać spokojniejszej pracy. Dużo wzięło się za naukę, w technikum wieczorowym w Kluczborku, znaczna grupa za robienie dyplomów mistrzowskich. Normalna droga, nie mogło być inaczej. Podobnie jak z „importem" kadry kierowniczej. To była w warunkach praszkowskich konieczność. Boczono się na początku trochę na tych obcych. Bo czekały na nich przyzwoite mieszkania, niezle pensje, ale robota też nie mała. Ci, co się sprawdzili, zostali i już ich teraz nie odróżnisz od rodzimych praszkowian. Zresztą ten zasadniczy trzon kadry wyrósł tu, z miejscowych techników, którzy w międzyczasie zostali inżynierami, z miejscowych robotników, z których dziesiątki ma już dyplomy techników i mistrzów.

A z takimi można się brać za wszystko

I wcale mnie nie zdziwiła decyzja, by w Praszce do tego, co jest, wybudować zakłady urządzeń hamulcowych, urządzeń pneumatycznych na licencji znanych zachodnioniemieckich zakładów Westinghause'a z Hanoweru. I do tego najnowocześniejszą odlewnię w Polsce, pracującą pod te pneumatyki i na potrzeby całej krajowej motoryzacji. I tu skończyły się większe czy mniejsze skoki w przód. Zaczęła się w Praszce rewolucja.

Jak się rzekło, była to spokojna, senna mieścina nad Prosną, mogąca się tylko poszczycić 700-letnią historią i niczym właściwie więcej. Bo wszystko, co by nie powiedzieć o okresie kilkudziesięciu lat wstecz, było małe i żałosne. Bieda, rachityczne rzemiosło, przemyt i przygraniczny handelek — punkt przerzutowy na Saksy. Nic poza tym. Miasteczko bardziej z nazwy, trochę z wyglądu, bo jest rynek, nawet ładny (to fasada tylko, bo większość domów to rudery), obsadzony różami, są urzędy, trochę sklepów, dom kultury przerobiony z dawnej synagogi. Niewiele ponad dwa tysiące mieszkańców. Nawet w niezbyt zurbanizowanym powiecie wieluńskim wiele osad i wsi mogło z powodzeniem rywalizować z Praszką pod każdym względem.

I nie było pracy. A wokół miasteczka wioski: Wygiełdów, Strojec, Brzeziny, Przedmość. Też przeludnione, przy kiepskich ziemiach, niskiej kulturze rolnej. Bieda i beznadzieja. Bo albo tu tkwić i tę biedę klepać, albo emigrować na Śląsk, do Zagłębia, w Opolskie. A ponieważ żaden to interes mieszkać w robotniczym hotelu i prowadzić dwa domy, pozostawały najczęściej dojazdy. Pociągiem, autobusem, po sto kilometrów dziennie, po sto pięćdziesiąt, po dwie—trzy godziny w jedną stronę. Wstawanie po nocy i powroty o zmierzchu.

Doliczono się takich ludzi w powiecie około czterech tysięcy. Coś z tym trzeba było zrobić, a wyjście było tylko jedno. Dać im pracę na miejscu. To musiało zadecydować, chociaż to nie było na początku, z punktu widzenia całości gospodarki, najnowocześniejsze rozwiązanie. Ale w momencie ostatniej decyzji nie wchodzono na szczere pole. Było o coś zaczepić i ten punkt zaczepienia miał swoją wartość. Teraz trzeba nawet było z punktu widzenia elementarnej ekonomiki do optymalnej wielkości doprowadzić całość. Rozwiązać więc ludzki problem i stworzyć organizm gospodarczy, mający w tym rolniczym powiecie pełną rację bytu.

Wtedy już nie myślano kategoriami końcowego efektu. Nie patrzono wyłącznie na zakłady finalne, na FSO, Starachowice, FSC, gdzie nowoczesne taśmy montażowe prezentowały się bardzo pięknie i po europejsku, ale na części, z których na owych taśmach montowano zespoły i całe pojazdy, powstawały gdzieś tam w Polsce, w małych, niedoinwestowanych, zacofanych technicznie fabryczkach. Było więc i zrozumienie i zielone światło, i środki finansowe. Reszta zależała od tych na miejscu i kilku kooperantów z całego kraju: będzińskiego „Mostostalu", łódzkiego „Elektromontażu", łódzkiego Przedsiębiorstwa Robót Inżynieryjnych, a przede wszystkim Biura Projektowo - Technologicznego „Motoprojekt" w Warszawie.

Nikt nie zawiódł

Nie zawiedli projektanci (generalny projektant inż. Jerzy Sobczak), wykonawcy i inwestor. Zaczepili się do planu w 70 roku. Jeszcze bez założeń technicznoekonomicznych, z fragmentami dokumentacji. Wykonano makroniwelacje terenu, ogrodzenie, drogi dojazdowe. Początek był jak należy, kierowcy nie musieli zarzynać silników, ludzie grzęznąć w błocie i gubić gumowe buty. Nakłady w tym roku wyniosły 12 milionów, tyle, co nic, jak się weźmie proporcjonalnie do całości kosztów. Zaczęli więc naprawdę z początkiem 71 roku. Generalnym wykonawcą zostało Wieluńskie Przedsiębiorstwo Budowlane, zwane tu krótko „bepem". Sprawdzili się już przy budowie hali dla fiatowskich pomp. Mimo, iż przez dwadzieścia lat budowali bloki mieszkalne, agronomówki, filie POM, szkoły. Ale też dobrze. A jak się umie coś robić dobrze, to skala wielkości nie jest już takim problemem. I jeszcze jak przedsiębiorstwem od początku, od ponad dwudziestu lat kieruje ten sam dyrektor, Feliks Szypko, człowiek z twarzym charakterem, ale i talentem organizacyjnym, dzięki któremu „bep" jest taki, jaki jest, czyli bardzo dobry. Gdyż przez te lata w WPB nie zapomniano ani na chwilę o ciągłym unowocześnianiu organizacji pracy, rozbudowaniu wydziałów pomocniczych, prefabrykacji, mechanizacji, pozyskiwaniu ciężkiego sprzętu budowlanego. A przy tym wybudowano szkołę zasadniczą o podstawowych kierunkach nauczania w branży budowlanej, szkołę na miarę potrzeb dla tysiąca prawie uczniów.

Czy nie zawiedli inni? Inwestor nie może się nachwalić swoich partnerów. Ale to już były przedsiębiorstwa o ustalonej marce. Weźmy choćby „Mostostal" z Będzina, tych od stalowych konstrukcji. To przecież o nich z okazji błyskawicznej odbudowy spalonej rafinerii w Czechowicach trąbiła hymny pochwalne cała nasza prasa. I słusznie. Tu też prześcignęli siebie. Spieszyli się, myśleli, kilkuhektarowy dach nad największą halą zmontowali na ziemi, potem segmentami przy pomocy superdźwigu ustawili na żelbetowych słupach. Dla laika to może nie wygląda na rewelację, ale rzecz była pierwsza w Polsce i trafiła do urzędu patentowego. I daleko w ten sposób uciekli harmonogramowi.

Nikt nie zawiódł. Było zgranie, zsynchronizowanie robót, nie brano się za łby na radach budowy, nikt nie straszył swoim ministrem, czy arbitrażem, tak, podczas tej gigantycznej batalii z udziałem wielu partnerów nie doszło choćby do jednego sądu arbitrażowego, a ile zwykle bywa przy realizowaniu drobnych nawet inwestycji. Wierzę bez zastrzeżeń, że tak było, kiedy w połowie września 72 roku objeżdżamy teren budowy z naczelnym dyrektorem „POLMO" w Praszce, mgr inż. Kordianem Zawadzkim. Jak również wierzę w to, że termin budowy zostanie dotrzymany i już dziś wpraszam się na uroczystość przecięcia symbolicznej wstęgi. Właśnie — końcowy termin! Budowa zakładu tej wielkości według dotychczasowych praktyk, optymistycznie licząc, trwać musiałaby co najmniej sześć lat. Tu wyznaczono połowę tego czasu. Aż się wierzyć nie chce, że ktoś mógł na siebie wziąć takie zobowiązanie. Ale po Grudniu zaczęliśmy wierzyć we własne możliwości i ta wiara, bez nadludzkich przecież wysiłków, ale przy dobrej robocie i mądrej polityce gospodarczej — materializuje się.

Jestem więc pewny, że poradzą sobie z terminem zakończenia budowy. I nie tylko, urwą trzy miesiące z tego wyśrubowanego harmonogramu. A trzy miesiące przy produkcji 3,5 tys. ton aluminiowych odlewów rocznie, to... policzcie sobie. Tona odlewów kosztuje 2,5 tysiąca dolarów. A dodać trzeba, że cała motoryzacja czekała na te odlewy z niecierpliwością.

Mam ochotę zapytać dyr. Zawadzkiego i sekretarza komitetu zakładowego partii, Bronisława Szymańskiego o „tajemnice sukcesów". Nie chcę się jednak wygłupić, wiem jak nie znoszą stereotypów w myśleniu i działaniu. Domyślam się nawet, co przymuszeni, mogliby mi powiedzieć. Bo to widać na każdym kroku, przy rozmowach, drobnych uzgodnieniach i ocenach, wyczuwa się w panującej atmosferze. Są młodzi przede wszystkim, młodzi, ale już doświadczeni, mają tyle energii, co uporu. I najważniejsze — stanowią zgrany k o l e k t y w. Tego słowa nie nadużywa się, ale nie jest tu pustym dźwiękiem. Oznacza ono wspólną świadomość działania i wspólną odpowiedzialność, jest miarą ambicji każdego członka załogi, niezależnie od zajmowanego stanowiska, jest ich dumą i realną nadzieją.

Co na to Praszka?

Ano, otwierała najpierw zdziwione oczy, nie wierzyła. Człowiek małego miasteczka jest wszędzie taki sam. Źle mu i dobrze z tym „jest jak jest". A naprawdę to jednym dobrze, drugim źle. Źle tym, co muszą jeździć za robotą, za groszem, zaopatrywać się w odzież i żywność w Wieluniu i Kluczborku, dobrze tym, co już się jako tako urządzili. Ale ilu takich tu było? Lepiej nie mówić! Ale zdziwienie i trochę niewiary było u wszystkich. I obawy, czy się to miasteczko pod naporem zmian nie przewróci do góry nogami? Ale, jak na razie, stoi, chociaż krajobraz zmienia się z dnia na dzień. Bo fabryka wzięła miasto jakby w kleszcze. Stary zakład jest wciśnięty między Prosnę a górę, tuż obok miejska zabudowa. Nową budowę musiano zlokalizować więc na wolnej przestrzeni, z drugiej strony miasta. (Dodajmy przy okazji: na nieurodzajnych piachach VI klasy). Daje to w przyszłości, choćby za lat dziesięć czy dwadzieścia, nieograniczone prawie możliwości dalszej rozbudowy. Ale fakt jest faktem, że fabryka wzięła jak w kleszcze miasteczko i może mieć to wymowę symbolu. Lecz jest to symbol pozornego zagrożenia, bo fabryka ani nie będzie zatruwać powietrza, ani zanieczyszczać rzeki, nie będzie przekleństwem, uciążliwym i bezwzględnym molochem, ale dobrodziejstwem. Da miasteczku wodę, kanalizację, dzielnice nowych bloków mieszkalnych, przedszkola, żłobek, ośrodek zdrowia, kryty basen, przystań wodną z kajakami, stadion sportowy z prawdziwego zdarzenia, nowoczesne kino, zespół szkół zawodowych, dom kultury. Da wszystko, co może dać: kulturę i godziwą rozrywkę, szansę na wybudowanie własnego domku jednorodzinnego, odpoczynek po pracy, zagwarantuje przyzwoite zaopatrzenie — to wszystko, co jest potrzebne do życia cywilizowanym ludziom, także Polski powiatowej. I część z tego jest, znaczną część już rozpoczęto, na resztę są środki, które nie raz twardymi bojami wywalczono, przekonywując kogo trzeba, że to nie gigantomania i nadmiar fantazji, ale życiowa konieczność. I że to się będzie opłacać już wkrótce, a długo procentować w przyszłości.

Nie ze wszystkim jest tak dobrze

Obiadujemy z dyr. Zawadzkim w miejscowej gospodzie. Nowa jest w budowie, ale teraz, dopust boży. Jesteśmy głodni, ja, swój człowiek, więc przełykamy coś tam bez grymaszenia. Ale wieczorem już gości z NRD trzeba na kolację wieźć dwadzieścia kilometrów do przyzwoitej restauracji w Kluczborku, i w ten sposób uniknąć wstydu.

To samo z handlem. Jak na razie — walka z wiatrakami, chociaż ci z „POLMO" nauczyli się walczyć o swoje słuszne racje i wychodzą z tych walk obronną ręką. A tu brak sukcesów, nie pomogło nawet branżowe pismo „Metalowiec". Rok temu wystrzeliło krytycznym artykułem w PZGS, cytowało listy zrozpaczonych praszkowskich gospodyń. I nic. Naczelny dyrektor, członek powiatowej egzekutywy partii, dla którego te sprawy są równie ważne jak plan w starym zakładzie i budowa nowego, też niewiele wskórał gwałtownymi nieraz wystąpieniami. Nawet swego posła, Lucjana Pychyńskiego, pierwszego robotniczego posła w historii tej ziemi, którego nachwalić się nie mogą, również „uruchomili". I też nie pomogło. Chociaż nadal nie dają za wygraną. „W sklepie rybnym na dwie lodówki jedna od pół roku zepsuta, dwa razy interweniowałem — mówi poseł. — W zeszłym tygodniu za 4 tys. zł ryb spisali na straty. A lodówka nadal zepsuta. Jeszcze raz im przypomnę...". I chociaż to nie najważniejsze z zadań 37-letniego ślusarza-brygadzisty, rodowitego praszkowiaka, od początku związanego z zakładem (bo na wyższym szczeblu gra idzie, i to udana, jak choćby o ten kryty basen, jako że poseł jest w podkomisji kultury fizycznej) — to jednak żyje i takimi sprawami współmieszkańców. Myślę, że w końcu wspólnymi siłami uporają się z tą pozornie tylko marginesową sprawą.

Żeby to jednak tylko takie były kłopoty. Ale jak się myśli prawidłowo, z perspektywiczną wyobraźnią, to i głowa boli o kłopoty, które będą w przyszłości. I mogą być spore, chociaż nie muszą, bo jeszcze można im zapobiec. Zakład w 1974 roku zatrudni ponad 2000 pracowników. Dla kadry już stoi kilka bloków, rozpocznie się budowa następnych. Już jest lokalizacja na 150 działek pod domki jednorodzinne na zasadach spółdzielczych, które w ciepło, po drobnej inwestycji zasili fabryczna kotłownia. Zakład pomoże przy tym w transporcie, dokumentacji, udzieli kredytów. Tak się tu myśli, jak w całej Polsce. Pomóc ludziom, na miejscu rozwiązywać własne problemy. Ale to nie wystarcza. Już teraz pilnie potrzeba 140 mieszkań. I problemu nie rozwiąże się bez spółdzielczego budownictwa. Z myślą o młodych pracownikach, którzy zakładają rodziny. Z myślą o tych, którzy jeszcze dojeżdżają z okolicznych wiosek, ale prędzej czy później zechcą, jak ich koledzy od jednego warsztatu pracy, zamieszkać w bloku z wodą, łazienką, gazową kuchnią. I nadal z myślą o imporcie fachowców, szczególnie wysoko kwalifikowanych odlewników i galwanizerów.

Narzekań jest więcej. Zakład jest hojny, daje na rzecz urbanizacji miasta wiele milionów złotych. Rady są jednak skąpsze, miejska i powiatowa, ostrożne, no i chyba biedne. Ale mogłyby sięgnąć do rezerw w tej partycypacji, bo to ich w pierwszym rzędzie obowiązek dbać o mieszkańców. Piszę może trochę na wyrost, ale jeszcze kilka spraw nie jest na 100 procent zatwierdzonych i chciałbym, żeby odpowiedzialni ludzie w wojewódzkiej i powiatowej radzie zrozumieli intencje i aspiracje Praszki. Że oni tu chcą wszystko zrobić dobrze, nowocześnie, żeby ich ktoś za kilka lat nie obśmiał i palcami nie wytykał. Żeby mieli zaufanie do dyrektora inwestycji, inż. Z. Siatkowskiego, że grosza w błoto nie chciałby wyrzucić, a walcząc o każdy grosz, bardzo go zarazem szanuje.

I właśnie jego naciskam o dalsze kłopoty. Z wykonawcami i projektantami. Ale uśmiecha się tylko. Młody, jak każdy z pięcioosobowej dyrekcji, zdobył tu inwestycyjne ostrogi i wie, jak trzeba w tak drażliwej materii się obracać. Woli chwalić. Projektantów, że siedzą na placu budowy, a nie wymyślają za biurkiem. Wykonawców chwali za solidność i że nie wołają o podkładkę na piśmie na każdy drobiazg. I że dotrzymują terminów, chociaż mają kłopoty z pełnym zatrudnieniem. Ja też nie chcę na siłę wyciągać, żeby dać komuś łupnia. Tu chyba, jak na budowie w Pajęczańskiem, spychacza nie zakopią. Nie ma obawy. Kierownik budowy, inż. Wójcik, pilnuje wszystkiego, jak trzeba, od samego początku. I już w podkreśleniu tego faktu jest pochwała. Wiemy przecież, jak to często lecą głowy kierowników budów, a budowy stoją rozbabrane latami.

Trzeba kończyć

Zmienia się nasz kraj. Rośnie, razem z nim rosną ludzie. Nie tylko w Warszawie, Katowicach, na Wybrzeżu. Również i w Polsce powiatowej, w Praszce także. Zmieniając ten świat wokół siebie, z pasją, mądrze, z niecierpliwością, nie zawsze nazywają tego budową socjalizmu. Ale jest to najczystszej wody istota naszego ustroju. Robią to wszystko dla ludzi i dla siebie, dla nas wszystkich w konsekwencji.

Jerzy Wawrzak

Nowoczesność w szkole -

W ubiegłym roku powołano Komitet Ekspertów, który zbada stan oświaty w Polsce i opracuje program jej reformy. W tym roku weszła w życie Karta Praw i Obowiązków Nauczyciela — dokument, który podnosząc rangę zawodu nauczycielskiego, stworzył możliwość wprowadzenia znacznego postępu do szkoły. Dzięki temu wzrosło zainteresowanie nauczycieli studiami zaocznymi, zaczęła się liczyć wiedza i kwalifikacje, zawodem nauczyciela zainteresowali się co zdolniejsi maturzyści. Te dwa wydarzenia oraz zapowiedź wielu zmian, które wchodzą w życie już z początkiem bieżącego roku szkolnego, spowodowały wzrost zainteresowania społeczeństwa sprawami oświaty. Od dawna mówiło się u nas, że takie będzie przyszłe społeczeństwo, jakie je sobie sami wychowamy. I oto postulat staje się rzeczywistością. Ale czym innym jest zapowiedź zmian, a czym innym ich praktyczna realizacja.

MGR MIECZYSŁAW KLIMEK — Pozornie może się wydawać, że tych zmian jest niewiele. W istocie jest inaczej. Stąd też warto zastanowić się przede wszystkim nad tymi, które są — przynajmniej moim zdaniem — najistotniejsze. Do takich zaliczyłbym te, które prowadzą do wyrównania startu młodzieży z różnych środowisk. W warunkach województwa jest to wyrównanie różnic między szkołą wiejską, a szkołą w mieście.

MGR HENRYK GRENDA — W warunkach Łodzi będzie to wyrównywanie różnic między szkołami wysoko zorganizowanymi, a szkołami niżej zorganizowanymi. Przy czym chciałbym wyjaśnić, że to nie geografia oświatowa decyduje o tym, która szkoła jest dobra, a która zła. Decydują o tym przede wszystkim nauczyciele.

ODGŁOSY: To wszystko prawda, ale wprowadzane w bieżącym roku szkolnym zmiany mają charakter nieco administracyjny. Nie jestem pewna, czy we wszystkich szkołach istnieją warunki do ich realizacji.

H. GRENDA — Prosiłbym o konkretny przykład.

ODGŁOSY: Ot, choćby zniesienie drugoroczności w klasach I — IV. Wiadomo, że do szkoły podstawowej przychodzą dzieci z różnych środowisk, o różnych zdolnościach i predyspozycjach psychicznych. Czy wobec tego zniesienie drugoroczności nie grozi tym, że wszyscy uczniowie klas od I do IV będą niejako automatycznie przechodzili z klasy do klasy, bez uwzględniania różnic w opanowaniu materiału?

H. GRENDA: — Nie. Zakładamy proces indywidualizacji nauczania. Oznacza to, że w każdej klasie musi następować dobór młodzieży o podobnym poziomie intelektualnym. Nauczyciel będzie teraz musiał więcej zajmować się uczniem, i to zarówno tym szczególnie uzdolnionym, jak i tym słabym. Odciążając pedagoga od wielu administracyjno-formalnych obowiązków, stwarzamy mu warunki do indywidualnej pracy z uczniem.

ODGŁOSY: — Zwolniono na przykład nauczyciela od bezmyślnego przepisywania często tego samego rozkładu materiału do kilku dzienników. Ten czas ma być wykorzystany na pracę dydaktyczno-wychowawczą. Ale przecież nauczyciele przepisywali rozkłady zajęć w domu, już po godzinach pracy w szkole i to w dodatku raz na kwartał. Nie zyskają więc z tego powodu zbyt wiele dodatkowego wolnego czasu. A zajęć przybywa im znacznie. Mają teraz nie tylko dokładniej poznawać swoich uczniów, ale również całość nauczania skoncentrować w szkole, co w praktyce ma się sprowadzić do zniesienia prac domowych. Ale jest to przecież możliwe tylko tam, gdzie klasy są mniej liczne. Przy czterdziestu uczniach w jednej klasie o indywidualnym podejściu do ucznia nie ma co marzyć.

M. KLIMEK — Problem indywidualnego podejścia do ucznia trzeba rozpatrywać w nieco innej skali. Poznanie przyszłego ucznia musi już następować w przedszkolu. I tak już się dzieje. W ubiegłym roku mieliśmy w województwie 19 klas przedszkolnych, w tym roku będzie ich 123. W ubiegłym roku mieliśmy 472 ogniska przedszkolne, a w tym roku założyliśmy ich już 758. To na pewno jeszcze nie tyle, ile potrzeba, ale postęp jest już znaczny.

H. GRENDA — Dam inny przykład na indywidualną pracę z uczniem. W ubiegłym roku szkolnym łódzka młodzież zajęła 21 pierwszych miejsc w różnych olimpiadach, w tym na trzech olimpiadach międzynarodowych, które odbyły się w Toruniu, Moskwie i Paryżu. Są to przecież sukcesy nauczycieli, którzy potrafili „odkryć" tak zdolnych uczniów i umieli nimi właściwie pokierować.

ODGŁOSY: — Wprowadzane zmiany zakładają jednak indywidualne podejście do każdego ucznia. I to powinno zaczynać się już w przedszkolu. Dzięki temu można będzie w momencie przyjścia do szkoły grupować uczniów w zależności od ich dojrzałości szkolnej. Ale to jest cel, do którego szkoła będzie dążyć. Obecne warunki są jeszcze dalekie od ideału.

M. KLIMEK: — Dlatego planujemy też szybki rozwój szkół specjalnych i szkół pośrednich, w których będą możliwości bardziej wnikliwego zajęcia się dziećmi o opóźnionej dojrzałości szkolnej. Takie szkoły dałyby w konsekwencji tej młodzieży również możliwość zdobycia określonego zawodu.

H. GRENDA: — Szukając form dla jak najlepszego spełniania nowych zadań, eksperymentujemy w Łodzi w trzech szkołach. I tak, poza Widzewem, gdzie działa szkoła całodzienna, otworzyliśmy jeszcze dwie, w których uczą się razem dzieci z domów dziecka i z całego rejonu. W szkołach tych wszystkie dzieci mają zapewnioną opiekę nauczycieli nie tylko w czasie lekcji, ale również po lekcjach. Mogą więc cały dzień przebywać w szkole.

ODGŁOSY: Ale na razie są to tylko trzy szkoły.

H. GRENDA: — Będzie ich jednak więcej. I proszę nie sugerować się tym, że nazywamy to eksperymentem. Chodzi nam nie tylko o stworzenie silnego związku dzieci z domu dziecka z uczniami ze środowiska, w którym ten dom istnieje, ale także zebranie doświadczeń z pracy pozalekcyjnej i pozaszkolnej.

ODGŁOSY: — Jest to więc próba łączenia procesu nauczania z procesem wychowania. W tej dziedzinie — nie ma co tego ukrywać — w szkole wiele jest do zrobienia. Pozwolę sobie tu zacytować jedno zdanie z książki Ireny Nowakowskiej pt. „Szkoła współczesna w świetle statystyki i opinii nauczycieli": „Gdyby nie to, że my (to znaczy szkoła — B.M.) wydajemy papierki — dokumenty wykształcenia ułatwiające życie — nikt dobrowolnie nie przyszedłby do nas". Tak mówią sami nauczyciele o szkole. Czy to nie wystarczająca krytyka istniejącego stanu? Szkoła jest mało atrakcyjna dla uczniów i zbyt tradycyjna, a przez to daleka od upodobań i zainteresowań młodzieży. Sprzyja to powstawaniu „minikonfliktów" — długie włosy, mundurek szkolny. Nie ma za to miejsca i czasu na podejmowanie istotnych problemów współczesnego życia, które przecież nurtują młodzież.

M. KLIMEK: — Od szkoły nie można wymagać, aby zerwała z dyscypliną, aby nie uczyła porządku. Jeśli przeciwstawia się aktualnym modom, to nie dla jakiegoś tam widzimisię, ale z nadrzędnego celu wychowawczego. Stara się po prostu uczyć porządku.

ODGŁOSY: — Nie może to być jednak dyscyplina tylko formalna, na której najczęściej się poprzestaje. Szkoła ma kształcić przyszłego obywatela, przygotowywać go do życia politycznego i społecznego. W szkole działają organizacje młodzieżowe, jest samorząd szkolny. Są to wszystko instrumenty działalności wychowawczej szkoły, z których, jak do tej pory, chyba nie potrafi ona właściwie korzystać.

H. GRENDA: — To prawda. Ale chciałbym tu powrócić do pewnych stwierdzeń zasadniczych. Po pierwsze — dopiero zaczynamy działać w warunkach, jakie stworzyła pedagogom Karta Praw i Obowiązków Nauczyciela. Podkreśliłbym szczególnie to pierwsze sformułowanie — jest to karta praw. Do tej pory od nauczyciela przede wszystkim wymagano, teraz dano mu prawa. To radykalnie zmienia samopoczucie tej grupy zawodowej, a jednocześnie zobowiązuje ją wobec społeczeństwa, któremu ma służyć. Po drugie — chcemy wiele zmienić w szkole i musimy wiele zmienić, ale dopiero zaczynamy zmiany te wprowadzać. Na rezultaty trzeba będzie poczekać.

ODGŁOSY: — Zapewne, ale przeżyliśmy już tyle zmian w szkolnictwie, że i te, co do których wszyscy są raczej nastawieni przychylnie, budzą pewne wątpliwości. Czy nauczyciele im podołają?

M. KLIMEK: — I tak doszliśmy do problemu, od którego nie ma ucieczki. Do nauczycielskich kwalifikacji.

H. GRENDA: — I nie trzeba od tego uciekać. Dążymy do — jak to się niełądnie po polsku mówi — spłaszczenia systemu zarządzania. Dajemy niższym jednostkom oświatowym więcej możliwości decydowania, dajemy im możliwość rozwijania własnych inicjatyw. Czy będą pomyłki i nieporozumienia? Miejmy nadzieję, że będzie ich jak najmniej.

M. KLIMEK: — W województwie jest to sprawa bardziej skomplikowana. Różnice występujące w strukturze szkolnictwa są tu znacznie większe. Są to głównie różnice między szkołą wiejską, a szkołą miejską. Ma je niwelować szkoła gromadzka. Mają to być silne ośrodki oświatowe, koncentrujące proces nauczania w możliwie najlepszych warunkach, wzbogacające go poprzez kompleksowe rozwiązania, na które złoży się połączenie oświaty przedszkolnej, zawodowej i działalności kulturalnej. Nie obejdzie się jednak bez sprzeciwów niektórych grup społeczności wiejskiej. Ale wydaje się, że rezygnacja z lokalnych ambicji, a więc rezygnacja z własnych małych szkółek o łącznych klasach, z jednym lub dwu nauczycielami, na rzecz szkół dużych, choć może czasem dalej położonych — daje w rezultacie znacznie większe możliwości nauczania i wychowania, stwarza młodzieży wiejskiej lepsze warunki startu do dalszej nauki.

H. GRENDA: — Dokonujemy zmiany nie tylko w strukturze szkoły, nie tylko w programach i organizacji nauczania, ale myślimy jednocześnie o kwalifikacjach nauczycieli.

ODGŁOSY: — Trzeba byłoby ujednolicić wreszcie system kształcenia.

H. GRENDA: — To także, ale na razie koncentrujemy uwagę na systemie dokształcania. I tak w Łodzi, obok wieczorowych wyższych studiów nauczycielskich powstaje Instytut Kształcenia i Badań Oświatowych. Dodam, że pozwoli on na prowadzenie badań nad problemami oświaty w naszym regionie.

ODGŁOSY: — A jak wyglądają badania nad potrzebami i możliwościami szkolnictwa zawodowego? Wiadomo przecież, że Łódź i województwo tworzą jednolity region gospodarczy, ale kształcenie specjalistów odbywa się oddzielnie. Łódź kształci dla siebie, województwo — dla siebie. Poza tym wiadomo też, że czasem przygotowuje się specjalistów, którym później trudno znaleźć pracę.

M. KLIMEK: — To już są sprawy innego rzędu. Tu po prostu ma wpływ zmienność planów gospodarczych. Zapotrzebowanie na specjalistów ustala się na minimum pięć lat wcześniej. W tym czasie wiele decyzji gospodarczych może ulec różnym zmianom. To nie znaczy, że nie trzeba dążyć do jak największego zbliżenia planów kształcenia z planami inwestycyjnymi.

ODGŁOSY: — Tym bardziej, że proces kształcenia jest elementem procesu inwestycyjnego.

M. KLIMEK: — Ale ja nie zgodziłbym się z krytycznymi uwagami pod adresem władz oświatowych Łodzi i województwa na temat ich wzajemnej współpracy. Taka współpraca istnieje. Czy zawsze daje oczekiwane rezultaty? — to inna sprawa, ale działają tu też różne przyczyny, nie zawsze od władz oświatowych zależne.

ODGŁOSY: — Brakuje na przykład internatów.

H. GRENDA: — To też, ale przeszkadzają również mody na poszczególne specjalności. Nagle wszyscy chcą, aby ich dzieci zostały technikami telewizyjnymi lub samochodowymi. Taki nawet spotkać i z takim zjawiskiem: kiedy w jednej z łódzkich fabryk proponowano spopularyzowanie ludzi dobrej roboty, kandydaci do tego wyróżnienia zaprotestowali, bo bali się powszechnej... drwiny.

WSPÓŁCZESNOŚĆ ZALEŻY OD NAS

Dalszy ciąg ze str. 1

POSZUKIWANIE IDEAŁU

Pytanie: **jakim powinien być Polak 72?** — od dawna nurtuje współczesnych. Pytanie jest to wciąż aktualne, niezależnie od tego, czy obok słowa „Polak" widnieć będą cyferki „72" czy „75". Jest to bowiem pytanie o wzorzec osobowy, o model Polaka, jakim można i należy posługiwać się w szeroko pojętej pracy wychowawczej. Skrótowo mówimy najczęściej, że współczesny mieszkaniec kraju położonego nad Wisłą powinien być człowiekiem zaangażowanym, dążącym do stałych zmian na lepsze wszystkiego, co takich zmian wymaga.

Znacznie lepiej jednak znamy te wszystkie cechy, których współcześni nie powinni posiadać. Krytykujemy asekuranctwo, wygodnictwo, brak inicjatywy, kompetencji, dążenie do kariery i sukcesu osobistego za wszelką cenę, a więc też i kosztem innych osób i kosztem społeczeństwa. Krytykujemy także ludzi, którzy chcą przejść przez życie jedynie w zgodzie z przepisami i instrukcjami, którzy nie potrafią patrzeć dalej, niż zezwalają im na to wytyczne nadrzędnych jednostek. Krytyka ta wyraża się również w wołaniu o racjonalną i dalekowzroczną politykę personalną.

Wszystko to jednak nie daje odpowiedzi na pytanie: jakim powinien być współczesny Polak? Dawniej wzorców osobowych szukano w literaturze i sztuce, ale i tu trudno dziś o odpowiedź, bo sztuka zajęta konfliktami współczesności pokazuje bardziej postawy jednostkowe niż stara się o wzorzec monolityczny. I trudno mieć o to pretensje, zważywszy, że nasza najbardziej nowa historia miała wiele zakrętów i mielizn, że postawy propagowane i powielane przed laty dziś straciły swoją aktualność, gdyż były schematyczne i doraźnie potrzebne. A przecież odpowiedź na pytanie o model współczesnego Polaka jest niezbędna już choćby tylko dlatego — jak pisze prof. Jan Szczepański — że **„...istnieje stała zależność między podstawowymi wzorami i modelami zachowań a strukturą społeczną i musi istnieć między nimi zgodność, nie może się bowiem utrzymać struktura społeczna, w której jednostki zachowują się stale niezgodnie z podstawowymi wymaganiami".**

Odpowiedź na to pytanie jest potrzebna i dlatego, że motorem postępu społecznego nie może być zbyt długo jedynie tendencja do rugowania cech ujemnych, bez jednoczesnego dążenia do upowszechniania wzorców pozytywnych. W szeroko pojętej pracy wychowawczej ciągle jednak więcej miejsca i uwagi poświęcamy zwalczaniu tego, co jest złe niż utrwalaniu tego, co jest dobre. A mimo tego większą popularnością cieszą się u nas bohaterzy negatywni od bohaterów pozytywnych. Przykładem mogą być mikrospołeczności z przedsiębiorstw Łodzi i województwa, gdzie można wprawdzie znaleźć wielu ludzi, których postawy godne są popularyzacji, ale którzy pozostają w cieniu, a wiele wie się natomiast o wszelkiego rodzaju obibokach, bumelantach i kombinatorach. Zdarzyło mi się

MY I WŁADZA

„Warunkiem rozwoju socjalistycznego systemu państwowego i społecznego — stwierdza Uchwała VI Zjazdu PZPR — **jest stały wzrost poziomu świadomości ludzi pracy, ich aktywności politycznej i zawodowej. Umacnianie socjalistycznej świadomości prowadzi również do pełniejszego wykorzystania instytucji naszej demokracji. Dlatego rozwijać należy wszystkie formy działania, które wpływają na kształtowanie się i rozwój aktywnej postawy każdego obywatela wobec zadań związanych z budownictwem socjalistycznym w PRL".**

Każdy z nas ma możliwość uczestniczenia w jakiejś z form zarządzania, wyrażania swoich poglądów, zgłaszania postulatów i uwag, które powinny mieć wpływ na sprawowanie władzy w kraju. Rozwijanie udziału mas w sprawowaniu władzy jest nie tylko spełnieniem zasady demokracji, ale zawiera w sobie znaczne walory wychowawcze. Trudno tu mówić o wszystkich formach demokracji socjalistycznej, choć warto zdać sobie sprawę, że nie ze wszystkich umiemy w jednakowym stopniu korzystać. Np. wiele się u nas mówiło i pisało o pracy partyjnej i organizacji społecznych w miejscu zamieszkania. Praca ta w wielu wypadkach sporo pozostawia do życzenia, a jest przecież nie tylko formą sprawowania władzy, jest również poważną możliwością kształtowania postaw obywatelskich.

Nie jestem również przekonany, czy we wszystkich zakładach pracy rozwija się w należyty sposób te formy działania, które wpływałyby na kształtowanie się i rozwój aktywnych postaw. Odbywające się obecnie plenarne posiedzenia wojewódzkich instancji partyjnych — a takie odbędą się również w łódzkiej i wojewódzkiej instancji partyjnej — są formą kontroli wykonania tego wskazania VI Zjazdu PZPR. Stwarzają jednocześnie nie tylko możliwość oceny dotychczasowych braków, a także opracowania

hasło i praktyka

napływ kandydatów do niektórych szkół nie ma, niestety, nic wspólnego z planowaniem kształcenia specjalistów.

ODGŁOSY: — Zawodzi tu preorientacja zawodowa. I tak wracamy znów do problemów wychowawczych. Szkoła powinna coraz częściej współpracować z lekarzami, psychologami, socjologami. Potrzeba — jak to powiedział niedawno minister Jerzy Kuberski — takich „pedagogicznych rozwiązań", żeby najzdolniejsi wykorzystali swe możliwości do maksimum, a mniej zdolni byli doprowadzeni do punktu, w którym będą pożyteczni społecznie wedle ich możliwości — nie tylko zresztą obecnych, ale tych przewidywanych, będących wynikiem dalszego rozwoju".

M. KLIMEK: — To jest cel. Osiągnąć go będzie nie tak łatwo. Pomijam już to, że na przykład na wsi nie mamy tak znów wiele socjologów i psychologów. Można jednak szukać rozwiązań we współpracy z wyższymi uczelniami, które mogą — a to się już przecież robi — pomagać w rozwiązywaniu różnych problemów szkoły wiejskiej czy miejskiej. Nie o to tylko jednak chodzi. Szkoła musi też szerzej współpracować z rodzicami. Rodzice bardzo często, kierowani własnymi ambicjami, rozbudzają w dziecku takie dążenia, które nie są zgodne z jego zdolnościami. Szkoła powinna temu zapobiegać.

ODGŁOSY: — Współpraca z rodzicami powinna też odgrywać większe znaczenie w pracy wychowawczej szkoły. Teraz, kiedy całość procesu dydaktycznego zamknie się w szkole, powinno znaleźć się więcej czasu na kontakt z domem ucznia. Nie można wyobrazić sobie indywidualizacji nauczania bez poznania warunków, w jakich żyje i rozwija się uczeń.

H. GRENDA: — Myślę, że to zadanie nie tylko dla nauczyciela, ale również dla organizacji młodzieżowych, przede wszystkim w starszych klasach.

ODGŁOSY: — A może przy okazji wrócimy do roli samorządu szkolnego?

H. GRENDA: — Założyliśmy, że wprowadzane zmiany pozwolą w znacznym stopniu rozwinąć samorządność w szkole. Przyczynią się do zwiększenia samowychowywania młodzieży. Pozwolą stosować różne nowe formy wzajemnej pomocy uczniowskiej. Ale, powtarzam, my jesteśmy dopiero na początku tej drogi. Władze oświatowe w tym momencie muszą zająć się dwoma zasadniczymi zadaniami. Pierwsze — to uświadomić nauczycielom cel i znaczenie dokonywanych przemian. Drugie — stworzyć dla tych przemian najlepsze warunki.

ODGŁOSY: — Zdajemy sobie sprawę, że w naszej rozmowie zasygnalizowaliśmy, a niekiedy ledwie dotknęliśmy problemów o ogromnym, społecznym znaczeniu. Nie mówiliśmy o wszystkich, choć staraliśmy się poruszyć jak najwięcej spraw. Nadal aktualna pozostaje sprawa na przykład atrakcyjności szkoły i jej kontaktu ze współczesnością, kontaktów z rodzicami i środowiskiem, problemów tego, co nazywamy wychowaniem obywatelskim. Nie poruszyliśmy spraw, jakie wiążą się z przyzakładowymi szkołami zawodowymi, ledwie zasygnalizowaliśmy różnice w wyposażeniu szkół.

Rejestr problemów, które mogłyby być przedmiotem rozmowy, dyskusji, a nawet ostrej polemiki, jest jeszcze dość obszerny. Dlatego nie kończymy tej rozmowy żadnymi wnioskami ani stwierdzeniami. Dyskusja w środowisku nauczycielskim — i nie tylko — trwa nadal. Jeśli nasi Czytelnicy znajdą czas, aby napisać o swoich uwagach, postulatach i spostrzeżeniach — chętnie przedstawimy ich wypowiedzi. W SPRAWACH OŚWIATY NASZE ŁAMY SĄ DO WASZEJ DYSPOZYCJI.

Rozmowę przeprowadziła: BOGDA MADEJ

konstruktywnych programów działania. Programów działania ofensywnego, które określiłyby cele i metody ich realizacji.

Uchwała VI Zjazdu partii zaleca, aby **„...otaczać szczególną opieką ludzi obdarzonych inicjatywą, którzy w sposób odpowiedzialny i śmiały, łącząc pracowitość z umiejętnościami, starają się wprowadzić nowocześniejsze metody pracy, trafniejsze rozwiązania organizacyjne i techniczne".** W tym zaleceniu sformułowany jest już zasadniczy program wychowawczy, ale dla jego realizacji potrzeba określonych warunków.

Inicjatywa — zapewne, ale i kwalifikacje. Dobrych pomysłów nam na ogół nie brakuje. Brakuje natomiast umiejętności ich spełniania. Wielu boi się ryzyka — to prawda i dlatego uważa, że tak jak jest też jest dobrze, ale wielu nie umie podnieść tego ryzyka, paraliżuje ich strach przed odpowiedzialnością. A czasem jest to po prostu świadomość swoich małych umiejętności. Rodzi to konflikt między dotychczas osiągniętą pozycją społeczną, a rzeczywistymi umiejętnościami. Stagnacja gwarantuje utrzymanie tej pozycji, zmiany — jej naruszenie. Jest to więc konflikt między interesem osobistym a interesem społecznym. Potrzeba zatem uruchomienia w każdej społeczności takich mechanizmów, które interes własny wiązałyby z interesem ogółu. Tylko w takich warunkach mogą śmiało i odpowiedzialnie działać ludzie z inicjatywą.

Aby decydować ludzie muszą wiedzieć. Nie jest to tylko problem obiegu informacji w każdej społeczności, a więc i w każdym przedsiębiorstwie. Jest to problem umiejętnego posługiwania się zasadą konsultacji. I myliłby się ten, kto sądziłby, że chodzi tu tylko o formalność, o powiadomienie załogi o takich czy innych postanowieniach. Chodzi tu o coś więcej, o wyrabianie u ludzi przekonania, że mają nie tylko prawo do współdecydowania, ale faktycznie ich uwagi i propozycje wpłyną na przyszły kształt decyzji. I taka powinna być praktyka. Organizacje partyjne niektórych łódzkich fabryk dają w tej mierze dobry przykład, jak należy postępować, konsultując ze swoimi członkami nawet tematykę przyszłych zebrań. Może to się pozornie wydawać drobnostką, ale w praktyce ma to określone znaczenie, gdyż pozwala podejmować takie problemy, które nie tylko interesują większość ale też są aktualne dla całej załogi. Z tego przykładu powinny też korzystać samorządy robotnicze, organizacje związkowe i inne.

BEZ ODPOWIEDZI

Sygnalizowane powyżej problemy kształtowania socjalistycznej świadomości nie wyczerpują całości zagadnienia. I inaczej być nie może. Jest to bowiem problem ogromny, który stale jest aktualny. Proces wychowania nowego człowieka nie ogranicza się tylko do szkoły, trwa on dalej, a rzetelna praca polityczna i propagandowa wpływa na stałą zmianę ludzkich poglądów. Pod warunkiem jednak, że będzie to praca ofensywna, że nie będzie to tylko przeciwdziałanie ujemnym zjawiskom. W pracy tej wielce pomocny jest model współczesnego Polaka. Nie odpowiedzieliśmy tutaj ostatatecznie, jakim cechom ma odpowiadać Polak 72. Wydaje się, że podobnie jak to bywało w poprzednich okresach naszych najnowszych dziejów, w każdym określonym etapie rozwoju społeczeństwa niezbędne jest wysuwanie na plan pierwszy tych lub innych cech. Obecnie należy do nich dobra, rzetelna praca, wysokie kwalifikacje, uczciwość i zdyscyplinowanie. Nie znaczy to jednak, że inne cechy są mniej ważne lub zupełnie zbędne. Mam po prostu jedynie wątpliwość, czy w procesie kształtowania społecznej świadomości recepta spełnić może jakąkolwiek rolę. Recepta na współczesnego Polaka. Jestem natomiast przekonany, że tęsknota za takim modelem wynika z niedostatków pracy wychowawczej, z braku ofensywnego działania. Musimy wiedzieć, czego chcemy, jakiego człowieka wychowujemy, jakie cechy musimy w nas rozwijać przede wszystkim, aby zadania, jakie sobie stawiamy mogły być wykonane. I aby tak się stało, nie wystarczy tylko przeciwstawiać się temu, co w naszym życiu niedobre, trzeba je również kształtować w taki sposób, aby przyszłe pokolenia nie mogły powiedzieć, że zaprzepaściliśmy nasze szanse.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Marek Nejman

Miłosierna siostra I URZĄD

Cokolwiek by nie mówiono dotąd na temat ludzkiej cierpliwości, powoływano się prawie zawsze na przykłady interesantów, ustawionych w długich kolejkach przed urzędami.

Nie, nie chcę wcale powiedzieć, że jeśli bawiono się tu i ówdzie paradoksami, to kreślono często gęsto obrazy tychże petentów czekających przed drzwiami urzędników, którzy w tym czasie zastanawiali się jak usprawnić obsługę ludzi z drugiej strony klamki. Nie chcę, ponieważ bardziej interesują mnie przykłady dobrze nawiązanej współpracy obu stron i trwałego związania się ich na śmierć i życie w ramach harmonijnego działania na rzecz otoczenia troską człowieka, działania nie o charakterze konferencyjno - zebraniowym, lecz tego rzeczywistego, dokonywanego w trudzie i znoju naszych spraw codziennych.

Taki właśnie wzniosły akt utworzenia wspólnego frontu działania miał miejsce w roku 1969, kiedy obywatelka Z. (zwana dalej Obywatelką) zwróciła się do Wydziału Spraw Lokalowych Łódź-Górna (zwanego dalej po prostu Urzędem) o zamianę jej dotychczasowego mieszkania na inne, znajdujące się obok wielu, w piętrowym domku jej rodzonego brata. Ponieważ oddawała, 42 m kw. za niepełne 29, bo nic innego nie leżało jej tak na sercu, jak roztoczenie troskliwej opieki nad częściowo ubezwłasnowolnionym i samotnym bratem. Wydawało się, że wzruszyła tym Urząd bez reszty, który ochoczo zalegalizował kombinację.

Niestety, przy wydawaniu wszelkich werdyktów w tym zakresie będą okoliczności, wskazujące, że Urząd i Obywatelka spiskowali przed częściowo ubezwłasnowolnionym bratem, bowiem nie pytali go wcale, czy opieka siostrzana jest po jego myśli. Z drugiej strony jednak był to nowy rodzaj spisku, spisku szlachetnego, mającego na uwadze cudze dobro, można by rzec, że humanitarnego.

Niemniej istotny jest fakt, że brat wyciągniętej siostrzanej ręki nie przyjął, tylko we własną popluł i do Urzędu sążniste pismo rąbnął, że jeśli chcą, by wolna od ubezwłasnowolnienia jego część pozostała nadal wolną, to niech natychmiast zabierają z jego domu siostrę, która po zamieszkaniu tam, zajmowała się zamykaniem wody lokatorom, sprzedażą jego własnych gruszek etc., tylko nie nim samym, ponieważ on w tym czasie przebywał w szpitalu dla psychicznie chorych.

I tu właściwie należałoby oczekiwać, że ten trwały związek urząd—obywatel powołany do realizacji wspólnego celu powinien się rozpaść z hukiem, skoro brat przyjął inną koncepcję opieki nad sobą, w końcu decydującą. Tak się niby stało, ale tylko pozornie. W trosce bowiem o jego spokój Obywatelka i Urząd zaktywizowali swoją działalność, która mimo różnych form wiodła do tego samego.

Obywatelka siostra postanowiła zignorować żądania brata, dotyczące pełnego zabezpieczenia go przed wpływem jej opiekuńczych instynktów i przyjęła ich treść (któż u nas odrzuci nie darowizny bierze za dowód normalności!) jako objaw dalszego osłabienia jego umysłu. Faktem tym postanowiła zainteresować Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej, a gdy to nie dało pożądanych efektów, dotarła do Sądu Najwyższego, który zawyrokował nie po jej myśli i utrzymał w mocy to, co orzekł dotychczas Sąd Wojewódzki w zakresie władz umysłowych brata. Nie należy bynajmniej przyjmować, że tego rodzaju postępowanie siostrzane przeczy przyjętej tezie o rozwinięciu przez nią w tej sprawie szerokiej działalności na cele humanitarne. Skądże znowu! Skoro ktoś ma wyjątkowo rozwinięty instynkt opiekuńczy, dąży aktywnie, by przedmiot jego trosk i zabiegów był szczególnie rozległy.

Tymczasem Urząd przypomniał sobie, że wiąże go nie tyle głos ofiarodawcy opieki (który notabene nie został kuratorem sądowym brata), ile ofiarobiorcy. I Urząd błąd swój postanowił naprawić, nakazując Obywatelce w decyzji z rygorem natychmiastowej wykonalności opuszczenie domu brata i zamieszkanie na wyznaczonych jej 42 m kw. w ładnym peryferyjnym domku, tyle, że bez wody. A że Obywatelka mocno była temu przeciwna, Urząd ją wyeksmitował, na nowe powiózł, skąd zwiała przez ogródki, ukryła się.

Następnie zaatakowała dotychczasowego sojusznika skargami do Prokuratury Generalnej i Ministerstwa Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska. Prosiła w nich wysokie władze o wnikliwe wejrzenie w ową decyzję z rygorem, w której łatwo zwietrzyć korupcję i szachrajstwo. Ale nic nie zwietrzono tylko Urząd w zamieszaniu, jaki się przy tym wytworzył, przypomniał sobie, że pominął jednak wolę Obywatelki co do tego, czy chce narzucony jej lokal zamieszkiwać i dlatego uchylono to, co zostało sknocone i Urząd znów miał szansę poprawienia swej decyzji (już bez rygorów zaproponował Obywatelce 39 m kw., w śródmieściu, z wygodami i wodą. Nie trzeba chyba wyjaśniać, że Obywatelka nie mogła tych luksusów przyjąć, bo przecież milsze jej było miejsce przy bracie, więc wybrała dalszą poniewierkę po obcych i podziemną walkę z konkurentem o wyłączne prawo do brata, czego wyraz dała w odwołaniu od decyzji przyznającej jej luksusy w śródmieściu.

Tym razem instancja odwoławcza, mając niezbite przykłady konieczności liczenia się z cudzą wolą, na wszelki wypadek uchyliła to, o czym Urząd poprzednio zadecydował, po czym... orzekła to, co uchyliła.

A Obywatelka znów: nie! A Urząd z kolei...

Zresztą mniejsza o formy walki konkurentów, bijących się o hegemonię w czynieniu dobrze nieszczęśnikowi. Wspólny cel i konsekwencja rozgrzeszają ich tu i ówdzie popełnione błędy i wypaczenia, które — chociaż w przypadku niniejszej sprawy wywołały w sumie półroczną poniewierkę brata, nie mogącego spokojnie mieszkać we własnym domu, to jednak nie powinny być w żadnym wypadku traktowane jako poważniejsze potknięcia we wspólnym wysiłku usprawnienia wzajemnej współpracy. W życiu bywa bowiem różnie.

...Była to — po bitwie nad Bzurą — druga co do wielkości bitwa w kampanii wrześniowej, którą stoczyły wojska Frontu Północnego w ostatniej dekadzie września 1939 roku, pod dowództwem generała Dąb-Biernackiego. Jądro sił Frontu stanowiła armia generała Przedrzymirskiego, obejmująca 1 dywizję piechoty Legionów generała Kowalskiego, 41 rezerwową dywizję generała Piekarskiego i Mazowiecką Brygadę Kawalerii pułkownika Karcza. Nową jednostką tej armii była kombinowana dywizja generała Wołkowickiego, składająca się z brygad i grup odtworzonych z rozbitków armii „Prusy". Dywizja ta została zorganizowana w oparciu o składy zaopatrzeniowe w Chełmie Lubelskim.

Drugi człon Frontu Północnego tworzyła grupa operacyjna generała Kruszewskiego, do której wchodziły: 39 rezerwowa dywizja generała Olbrychta, 10 łódzka dywizja generała Dindorf-Ankowicza, 29 brygadą pułkownika Bratry oraz oddział spieszonej kawalerii podpułkownika Wani. Poważną część sił Dąb-Biernackiego stanowiła grupa kawalerii generała Andersa w składzie trzech brygad: Nowogródzkiej, Wołyńskiej i Kresowej. Była to jedyna grupa w pełni kadrowa, zmobilizowana przed wybuchem wojny i od lata gotowa do działań. W przeciwieństwie do niej improwizowany charakter miał czwarty związek Frontu, tj. dywizja kawalerii pułkownika Adama Zakrzewskiego, utworzona z ośrodków zapasowych w Garwolinie i Radzyniu.

Zadaniem generała Dąb-Biernackiego było maszerować na Lwów celem połączenia się z siłami Frontu Południowego pod dowództwem generała Sosnkowskiego. Wydarzenia 17 września zdecydowały, że gen. Dąb-Biernacki postanowił zmienić kierunek swego marszu z południowego na południowo-zachodni i dla wywalczenia drogi uderzyć na tylne straże wycofujących się ku Wiśle Niemców. W tym celu siły Frontu rozwinęły się między Zamościem i Tomaszowem Lubelskim w ogólnym kierunku zachodnim. Najdalej na południe wysunięta aż pod Werszczycę armia Przedrzymirskiego uderzać miała wprost na Tomaszów i po obu jego stronach. Grupa generała Kruszewskiego wykonać miała obrót wokół Zamościa na Łabunie, a grupa kawalerii generała Andersa, wzmocniona dywizją kawalerii pułkownika Zakrzewskiego, zajmowała środek 40-kilometrowego frontu z kierunkiem uderzenia na szosę Tomaszów — Zamość, między Tarnawatką i Mjadnem Krynickim. Mazowiecka Brygada Kawalerii otrzymała zadanie osłony całego ugrupowania od północy.

Przemarsz jednostek do wyznaczonych rejonów wyjściowych odbywał się wśród walk z wysuniętymi elementami pancernymi 4 dywizji lekkiej nieprzyjaciela. Każda noc przynosiła odgłosy walk ze wszystkich kierunków, a łuny pożarów znaczyły zasięg pancernych i zmotoryzowanych podjazdów wroga.

Wieczorem 20 września straże przednie 39 dywizji generała Olbrychta w marszu na Majdan Krynicki wyrzuciły z Cześnik (na południowy wschód od Zamościa) zmotoryzowanego nieprzyjaciela, zdobywając na nim samochody i motocykle. Wyparci Niemcy obsadzili jednak wzgórza na południe od Cześnik. W tym położeniu drogę Polakom mogło otworzyć tylko natarcie.

O świcie 21 września oddziały 39 dywizji wyruszyły bez szczególnych ubezpieczeń. Dywizjon artylerii majora Naruszewicza, wchodząc do lasu na północ od miejscowości Brudek, został nagle ostrzelany ogniem cekaemów i czołgów. Po chwilowym zamieszaniu dowódca opanował położenie i rozwinął swój dywizjon na polance po zachodniej stronie wzgórza 256, nie opodal gajówki. Niemcy po pierwszych kilku strzałach działowych pierzchnęli; wzgórze 256 stało się niebawem punktem centralnym polskiej reduty ogniowej.

Około godziny 9.45 w rejon gajówki przybył dowódca piechoty dywizyjnej, pułkownik dyplomowany Duch, a wkrótce potem wjechały galopem dwa dywizjony artylerii lekkiej: majora Białłego i majora Kiedrzyńskiego.

Niemcy obchodzili stanowiska od skrzydła. Wówczas pułkownik Duch zebrał doraźny oddział 50 ludzi, postawił na jego czele dowódcę 4 baterii 3 pal, kapitana Korolkę, i rzucił do przeciwuderzenia. Niemcy mimo przewagi liczebnej musieli dać za wygraną i pod żywiołową siłą polskiego kontrataku wycofali się z lasu, pozostawiając na placu boju wielu zabitych i rannych.

Jeszcze dwukrotnie tego dnia Niemcy wznawiali swoje natarcia, docierając każdorazowo do stanowisk broniącej się artylerii. Około godziny 16,30, w czwartym z kolei uderzeniu, przeciwnik zdołał się wedrzeć na stanowiska niektórych baterii, opanować las na zapleczu i zdobyć gajówkę. W walce tej poległ bohaterską śmiercią major Biały. Mimo odniesionej rany, prowadził osobiście ogień z działa, dopóki pocisk z automatu nie przeciął jego życia. Jednak Niemcy i tym razem nie zdołali przełamać pozycji.

Podobnie zacięta walka trwała przez cały następny dzień. Wieczorne zaś rozpoznanie dywizji stwierdziło odejście Niemców z przedpola. Tak zakończyła się trzydniowa bitwa pod Cześnikami przy obustronnych, krwawych stratach.

Gdy pod Cześnikami grupa operacyjna generała Kruszewskiego prowadziła walkę z VII korpusem niemieckim, do ogólnej bitwy między Zamościem i Tomaszowem Lubelskim podchodziły dalsze zgrupowania Frontu Północnego. W obszarze Tomaszowa armia generała Przedrzymirskiego zaatakowała zbierający się do odmarszu za San VIII korpus generała Ernesta Buscha. Zadanie opanowania Tomaszowa Lubelskiego otrzymała kombinowana dywizja generała Wołkowickiego. Jej 13 brygada pułkownika Szalewicza uderzyć miała między miejscowościami Werechanie i Podhorce, a 19 brygada pułkownika dyplomowanego Korkozowicza — dalej na południe.

Na Tarnawatkę kierowała się 1 dywizja Legionów generała Kowalskiego. Jej oddziały ruszyły 22 września w południe w trzech kolumnach. Wsparcie ogniowe miał zapewnić dywizjon 1 pułku artylerii najcięższej, dywizjon przeciwlotniczy i oddział pancerny w składzie 9 czołgów i pewnej liczby tankietek. Nieprzyjaciel stawiał silny opór na północny zachód od Rachani i powstrzymywał posuwanie się polskiego natarcia bocznym ogniem z równoległych grzbietów górskich. O zmierzchu 1 pułk dywizji, dowodzony przez pułkownika Kasztelowicza, osiągnął Falków. Tu rozegrała się typowa dla polskiego natarcia walka: bliskie podejścia pod stanowiska nieprzyjaciela, krótkie uderzenie wręcz, a następnie pościg. Po północy kolumny dotarły już do stanowisk nieprzyjaciela. 1 pułk podszedł pod Antoniówkę i bagnetem wyrzucił Niemców ze wsi, zdobywając kilka dział i biorąc jeńców. O świcie oddziały dywizji przekroczyły szosę Zamość-Tomaszów i posuwały się dalej.

Wkrótce jednak rozpoczęły się przeciwnatarcia Niemców. Świeże ich oddziały nadjeżdżały z Zamościa i Tomaszowa i z marszu uderzały na Polaków. Około południa cały teren był jednym wielkim pobojowiskiem, tłamszonym wciąż ogniem artyleryjskim nieprzyjaciela. Dowódca dywizji, generał Kowalski, zdołał jeszcze nadać przez radio meldunek do dowódcy armii.

— Bitwa skończona — meldował. — Jestem rozbity, jedno pobojowisko trupów i rannych. Odmeldowuję się...

Podczas gdy piesze dywizje armii generała Przedrzymirskiego i grupy operacyjnej generała Kruszewskiego krwawiły na skrajach odcinka, przed zgrupowaniem kawalerii generała Andersa na odcinku kilkunastu kilometrów powstała luka, wolna od znaczniejszych sił nieprzyjaciela. Toteż grupa ta ruszyła wieczorem 22 września ławą swych czterech brygad wprost na zachód. W ciągu nocy oddziały grupy z łatwością spędziły ubezpieczenia niemieckie w Janówce i Dzierążni, a o świcie 23 września osiągnęły Polanówkę i Krynice na szosie Zamość-Tomaszów. Około godziny 7 Nowogródzka Brygada Kawalerii poszła dalej na Krasnobród z 25 pułkiem ułanów podpułkownika Stachlewskiego w straży przedniej.

Jeszcze przed brzaskiem szwadrony czołowe ruszyły naprzód. 2 szwadron pod osłoną mgły zniósł napotkane ubezpieczenie, zszedł z koni i — ciągle we mgle — uderzył na Krasnobród. Przy wstającym dniu w stronę Krasnobrodu biegły sylwetki ułanów. Zajazgotały nieprzyjacielskie karabiny maszynowe, ale ułani już dopadli opłotków. Gwałtowne wybuchy granatów ręcznych zlikwidowały źródła niemieckiego ognia. Gdzieś w przodzie rozrywały się pociski wspierającej baterii konnej. Nieprzyjaciel rozpoczął bezładny odwrót.

Widząc to dowódca 1 szwadronu, porucznik Gerelecki, rozwinął swój szwadron w linię harcowników i ruszył galopem na nieprzyjaciela. Właśnie w tym momencie pojawił się oddział kawalerii niemieckiej, który ruszył w stronę polskich ułanów. Błysnęły niemieckie szable, ale oddział posuwał się za dowódcą niechętnie i ociężale. Niektórzy zdzierali na zboczu konie i zawracali pod górę, ku klasztorowi. Polski szwadron w miarę zbliżania się do Niemców zmniejszał odległości, kierując ku przodowi groty lanc. Wreszcie nastąpiło zderzenie.

Za chwilę Niemcy zawrócili ku klasztorowi, na ich karkach — nasi ułani.

Szwadron porucznika Gerleckiego w pościgu za Niemcami dostał się pod skrzydłowy ogień karabinów maszynowych. Serie pocisków pruły rolę, wzbijając wysoko kurz. Zakotłowało się rżysko od padających koni. Tam i sam galopowały konie bez jeźdźców. Pośród wielu zabitych i rannych zginął nieustraszony porucznik Gerlecki. Padł również — ugodzony kulą w czoło — nadbiegający ze swymi ludźmi dowódca szwadronu kolarzy, porucznik Środka. Plutonowy Mikołajewski przywiódł pod klasztor krasnobrodzki zaledwie 30 ułanów i 25 koni szwadronu.

W dwie godziny po boju odnowiony szwadron ruszył za pułkiem, mijając po drodze 26 i 27 pułk ułanów. Gdzieś od wsi Kaczorki strzelała niemiecka artyleria, pomiędzy sekcjami tryskały w górę fontanny ziemi.

Inaczej potoczyły się sprawy na kierunku północnego zgrupowania kawalerii. Idący w straży przedniej oddział Wołyńskiej Brygady Kawalerii spotkał się pod Jacnią z niemieckim pułkiem piechoty, wdając się w przewlekłą walkę. Kiedy po południu przybył tu ze swą dywizją pułkownik Zakrzewski, nieprzyjaciel zdążył już wzmocnić swoje siły, wskutek czego rozwinęła się regularna bitwa.

Niemcy po rozproszeniu zgrupowania kawalerii pułkownika Zakrzewskiego zamknęli szosę Zamość-Tomaszów na odcinku Krynice-Antoniówka i obsadzili rejon Suchowola-Felikśówka. Jednak w nocy podeszła pod Krynice 10 łódzka dywizja generała Dindorf-Ankowicza. Jej 28 pułk strzelców kaniowskich pod dowództwem podpułkownika Kurka, bohatera walk pod Glinnem nad Wartą, szybko rozwinął się do natarcia i śmiałym uderzeniem wyparł Niemców z Krynic, zastając na polu walki dużą ilość zabitych i rannych. Dywizja ta na noc miała ubezpieczyć się silną czatą w miejscowości Sumin. W marszu do Sumina oddziały dywizji napotkały Niemców w miejscowości Wola Dzierążyńska. Wywiązała się wśród ciemności nocnych walka na najbliższą odległość. Niemcy bronili się z wielkim uporem w cegielni, ale po godzinnej walce zostali około godziny 22 wyparci granatem i bagnetem. W rękach polskich pozostało 6 armatek przeciwpancernych, około 18 samochodów ciężarowych i 30 motocykli oraz duże zapasy materiałów pędnych. Zdobyto również kancelarię pułkową z rozkazami i aktami VIII korpusu.

Oddziały generała Olbrychta podjęły po swych walkach dalszy marsz około południa 23 września. Straż przednia 39 dywizji z 9 pułkiem Legionów podpułkownika Bierowskiego w straży przedniej rozpoczęła o 17 natarcie na Krasnobród. Do natarcia tego dołączył się ze swym pułkiem podpułkownik Kurek. Do zmroku Krasnobród znalazł się w ręku polskim, lecz w nocy ponownie zajęli je Niemcy. Dalszy marsz na południe nie mógł być podjęty.

Od świtu 25 września wywiązała się całodzienna krwawa walka o wzgórza i wieś Zapiaski. O godzinie 14.30 stanowiska 9 pułku Legionów przekroczyła 29 brygada pod dowództwem podpułkownika Stracha i uderzyła na oddziały niemieckie, usadowione na wzgórzu 304. Po wystrzeleniu ostatnich pocisków z 4 baterii 9 pułku artylerii ciężkiej zdobyto przejściowo wzgórze, przy czym w walkach leśnych zginął podpułkownik Strach. Pod wieczór niemieckie przeciwuderzenie odepchnęło Polaków z powrotem do Krasnobrodu.

W tym czasie 41 rezerwowa dywizja generała Piekarskiego na zapleczu walczących oddziałów przeszła przez Adamów za Wieprz i posuwała się niedawnym szlakiem walczącej tu armii „Kraków". Generał Olbrycht postanowił przerwać walkę i maszerować śladem tej dywizji. Jednak w dniu następnym także 41 dywizja związała się mocno w walkach pod Góreckiem Kościelnym. Wreszcie wieczorem 26 września generał Przedrzymirski postanowił kapitulować. Tak zakończyła się bitwa pod Zamościem i Tomaszowem Lubelskim, bitwa prowadzona z polskiej strony z wielkim rozmachem i upustem krwi, ale bez perspektyw na zwycięstwo.

Taki sam los spotkał oddziały Nowogródzkiej Brygady Kawalerii, które zdołały przebić się przez pierścień okrążenia pod Krasnobrodem. W ciągu 24 września reorganizowały się one pod Rudą Różaniecką, a następnego dnia przeszły w rejon Lubaczowa, gdzie dołączyły resztki Wileńskiej Brygady Kawalerii z pułkownikiem Druckim-Lubeckim i podpułkownikiem Wysockim. W dniu 26 września 26 pułk ułanów pułkownika Schweitzera rozbił w Broszkach pod Krakowcem niemiecką kompanię, a 27 pułk podpułkownika Pająka wykonał nieudaną szarżę na batalion piechoty pod Morańcami. Kiedy pułk wycofywał się ku wsi Kochanówka, wśród jazgotu karabinów maszynowych odezwał się chrapliwy głos trąbki sygnałowej. Prawie w tej samej chwili zza Moraniec wychyliła się biała chorągiew, powiewająca nad grupą trzech jeźdźców. Ogień niemiecki ucichł. Wnet odezwała się trąbka z tyłu, dając sygnał przerwania ognia dla polskich oddziałów.

(Fragment powieści „Bitwy polskiego Września")

Apoloniusz Zawilski

KRYSTYNA JĘDRZEJEWSKA

Pamięci
Romana Łobody

★ ★ ★

nie bój się mojej śmierci —
to tylko odejście
smutne bo ostateczne —
z jedyną różą
sztywno uczepioną ręki
błękitnawą aleją
przez ogród tragiczny

pomyśl, że ocaliłem
na mokrym asfalcie
w świateł zawirowaniu
wbrew zgasłej pamięci
niedokonany wiersz
— myśl i cień
na horyzoncie
ślady kół rozmyte
w czasie

WRZEŚNIOWA BITWA

TEATR

Co można jeszcze wmówić w Szekspira?

Nasz stosunek do twórców sprzed stuleci jest, zdaniem Boya-Żeleńskiego, wystawiony na niełatwe do pokonania trudności. To, co nas od nich odgradza — cytuję z pamięci — jest czymś w rodzaju linii oporu czy ściany, przez którą nie przenikają płomienie, a siła ognia nie ma takiego żaru, jaki miała przed wiekami. Boy upatrywał zadanie sztuki reżyserskiej w tym, żeby potrafiła „dobierać się do ognia" i przekazywać współczesności dzieła sceniczne w tej samej temperaturze, jaką miały one kiedyś, w czasach ich pra-prapremiery.

Cóż, kiedy nasi inscenizatorzy starają się przybliżyć nam stare arcydzieła przez uwspółcześnianie ich przeważnie sposobami „udziwniania". Muszę się zastrzec, że nie jestem bynajmniej przeciwnikiem rozsądnych inscenizacji, ułatwiających widzom kontakt z dziełem, którego odbiór może nastręczać trudności ze względu na przestarzały tekst, niezrozumiałe aluzje itp. Na tym miejscu w recenzji ze sztuki Rostworowskiego „Judasz" („Odgłosy" nr 27 z r. VII. 72) zająłem pozytywne stanowisko wobec nowatorskiej koncepcji reżyserskiej Andrzeja Przybylskiego.

Wystawienie „Jak wam się podoba" w inscenizacji Schillera, który w 1925 r. zrobił z tej komedii arlekinadę z boksem i jazzbandem, okazało się niewypałem. Tamto warszawskie przedstawienie powinno być ostrzeżeniem. Szkoda, że nie było! Reżyser Lech Komarnicki w pierwszych scenach (w tekście cały pierwszy akt) przebiera renesansowe niewiasty w nowoczesne damy, a mężczyzn — w dżentelmenów w czarnych garniturach i krawatach. Są też jeszcze kulturyści względnie zapaśnicy, względnie policjanci lub straż przyboczna w hełmach, a może i hokeiści, bo mają potężne rękawice? Do dziś nie mogę ustalić, co to byli za ludzie? Może ci tak bogato wyposażeni w utensylia sportowe mężczyźni mieli jechać na Olimpiadę i przez pomyłkę trafili na scenę? Jest również stolik na kółkach z drinkami, jest fotel klubowy. Sądzę, że można jeszcze było dodać wielki współczesny temat ochrony środowiska naturalnego człowieka, bo i tekst nastręczał po temu okazję, Jakub przecież mówi wyraźnie: „porzucić swe mienie, do puszczy się dostać", a Oliwer — wprawdzie trochę później — kaja się: „sam tu żyć będę i umrę pasterzem". Ale żarty na bok!

„Jak wam się podoba" to jedna z wielu komedii szekspirowskich, która długo zachowa wdzięk i urok młodości. Wystawiona dopiero na przełomie XVI i XVII wieku, sztuka ta posiada jednak wszelkie cechy dzieł z pierwszego okresu szekspirowskiego czyli właściwej doby elżbietańskiej, które odznaczają się radosnym kultem życia, wiarą w możliwość zwycięstwa dobra nad złem i podziwem dla możliwości umysłu ludzkiego. Orlando zostaje wygnany z domu Oliwera, Rozalinda i Celia opuszczają bez rozpaczy dwór przewrotnego Fryderyka i chronią się w Lesie Ardeńskim, żeby wieść tam życie na pół bukoliczne, na pół myśliwskie. Dwa światy, z jednej strony — ponury dom Oliwera oraz intrygancki dwór książęcy Fryderyka, z drugiej — Las Ardeński w ironiczno-sielankowym ujęciu zostały przeciwstawione sobie wyraźnie i jasno, i reżyserski zamiar „uzupełnienia" Szekspira i dodania czarnych barw dżentelmenom w czarnych garniturach może być mylący. Tym bardziej, że reżyser w następnych scenach odstępuje od swego pierwotnego zamiaru i w Lesie Ardeńskim pokazuje nam wygnańców w jasnych ubiorach, przypominających stroje renesansowe. Zdezorientowany widz wyciąga zatem wniosek: Współczesność jest czarna i zła, zatruta spalinami, intrygami panów i kulturystów, ratujmy się więc ucieczką w przeszłość, do Lasu, gdzie przebywają dobrzy, łagodni ludzie, którzy już w XVI wieku ubolewali nad niszczeniem środowiska naturalnego człowieka (żale Księcia Wygnanego z powodu wyniszczania zwierzyny).

Na szczęście inicjatywa wymyka się z rąk reżysera i do głosu dochodzi Szekspir, który jak zawsze zadziwia swobodą w rozwijaniu akcji scenicznej, różnorodnością postaci, magią poezji i niewyczerpaną inwencją. Sukces przedstawienia uzależniony jest w dużym stopniu od właściwego ujęcia ról przez aktorów kreujących dwie główne postacie, Rozalindy i Orlanda. Róża Czaplewska i Andrzej May wykazali dużo finezji i liryzmu w dowcipnych przekomarzaniach się, sporach i nieporozumieniach, dzielących i łączących szekspirowską zakochaną parę. W egzaltowanych zwierzeniach Rozalindy w rozmowach z przyjaciółką Celią (Izabella Pieńkowska) został też zachowany żartobliwy dystans, z jakim sceptyczny Szekspir ustosunkowywał się do wychwalanej ponad miarę przez Rozalindę wszechwładzy miłości. W kontraście do subtelnych igraszek miłosnych druga para prezentowała rubaszność prostaczki Audrey i bufonadę błazna - filozofa Probierczyka. Dobrze dobrani do tych ról Zofia Grążiewicz i Zbigniew Józefowicz zagrali je z komediowym zacięciem i soczystym humorem. Marek Barbasiewicz wystąpił w roli pełnego renesansowej żywiołowości Pasterza zakochanego w Febe (Iwona Słoczyńska) i był bardzo interesujący, póki nie zaczął śpiewać. Niestety, reżyser kazał mu śpiewać „nowocześnie" i Pasterz zaczął naśladować Niemena. Nagle znalazłem się po raz drugi w Operze Leśnej. To smutne, że młody reżyser pozbawiony jest smaku i słuchu muzycznego! Byłoby stosowniej, gdyby Pasterz w tej pasterskodworskiej komedii odśpiewał włoski madrygał, i to przy lutni, a nie przy gitarze, która pasowała tutaj akurat jak pięść do nosa!

Któż jeszcze?... Podobał mi się jeszcze w roli Księcia Wygnanego Józef Zbiróg, który, jak przystoi Księciu, miał ładne arystokratyczne gesty, a jak przystoi Wygnańcowi — nutkę melancholii. Właśnie dobrze, że „nutkę", bo gdyby więcej, to już byłoby wbrew Szekspirowi, który pisał z przymrużeniem oka tę komedię o panach, pragnących żyć i umierać jak Pasterze, w puszczy. Ale reżyser nie przyjął tego do wiadomości i uraczył nas „bombą". Bo skoro Szekspir pokpiwa (z lekka!) z bukolicznej estetyki, to trzeba to wyłożyć publiczności łopatologicznie! I oto w finale tej dworsko-pasterskiej komedii rozlega się syrena! Alarm atomowy! Makabryczny pomysł. Nieładnie, straszyć publiczność widmem zagłady. Szekspir by tego nie zrobił. Genialny William otrzymał staranne wychowanie domowe i pomimo cudownego braku umiaru miał dużo smaku artystycznego. Na szczęście, nie znalazł się jeszcze reżyser, który by potrafił Szekspira zamordować. Szekspir silniejszy! Świetny przekład Czesława Miłosza, piękna Henri Poulaina scenografia (zwłaszcza Las Ardeński), dobra gra aktorów uratowały spektakl, który będzie się cieszył powodzeniem.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Państwowy Teatr Nowy. William Szekspir „Jak wam się podoba", komedia w dwóch częściach. Przekład Czesław Miłosz. Reżyseria Lech Komarnicki. Scenografia Henri Poulain. Muzyka Roman Czubaty.

FILM

Człowiek w szpitalnym pokoju

Choć nazwisko reżysera filmu „OCALENIE" dla wielu widzów będzie nieznane, nie oprą się wrażeniu, że musieli się z autorem tym już kiedyś spotkać. Bohater jego filmu jest naszym znajomym, niewiele bowiem osób w Polsce nie oglądało filmu Krzysztofa Zanussiego „Za ścianą". Bohater „Ocalenia" i „Za ścianą" to właściwie ten sam człowiek i nie o zewnętrzne podobieństwa chodzi — ten sam aktor, ten sam zawód. Edward Żebrowski, scenarzysta i reżyser „Ocalenia" był współscenarzystą telewizyjnych filmów Zanussiego („Zaliczenie", „Twarzą w twarz", „Góry o zmierzchu", „Za ścianą"), współpracował też przy jego „Strukturze kryształu". „Ocalenie" jest zaś samodzielnym podjęciem wątków i kreacją bohaterów, z którymi spotykaliśmy się wcześniej. Rozdzielanie dziś zasług między obu autorów: K. Zanussiego i E. Żebrowskiego w ich wcześniejszych, wspólnych pracach, byłoby zajęciem jałowym, przypomnienie jednak współudziału E. Żebrowskiego — scenarzysty, wydaje się uczciwym obowiązkiem.

W „Ocaleniu" powraca Edward Żebrowski do tych samych motywów, które były udziałem „Struktury kryształu", „Gór o zmierzchu" i „Za ścianą" i w centrum swej uwagi stawia problemy psychologiczno-moralne. Nie wybrał na swój pierwszy pełnometrażowy film, a przypomnijmy, że debiutował jako autor telewizyjnej „Szansy" — swoistego preludium do „Ocalenia" — tematu łatwego. Przeciwnie, układ — szpital, lekarze, chorzy — nie ma w kinie najlepszych tradycji. Zbyt łatwo skłania ku sentymentalizmom i histerii, czy przemienia się w obrazki obyczajowe. Odporność widzów przy temacie choroby i śmierci nie heroicznej, nie sensacyjnej, a więc tej potocznej i prawdziwej, jest znacznie osłabiona.

Uważam, iż Edwardowi Żebrowskiemu udała się sztuka nie lada, przezwyciężyi nasz opór wobec tematu, właśnie bez histerii wciągnął w układ spraw, które są wokół nas, a o których, jak rzadko innych, nie lubimy i nie chcemy myśleć. Jednocześnie jednak nie o owe groźne memento jedynie chodzi, choć wiadomo, że właśnie ciężka choroba stanowi często zwrotny moment w życiu, uzmysławia hierarchię wartości. Temu procesowi towarzyszymy w „Ocaleniu", lecz nasza osobista refleksja jest jakby późniejszą, na prywatny użytek poczynioną reakcją.

Bohater „Ocalenia" jest, o czym wyżej wspominam, jakby kontynuacją postaci naukowca z „Za ścianą". Ten sam człowiek — scientysta, zamknięty na świat zewnętrzny, niechętny wobec wszystkiego, co jest wyrazem jego małych i wielkich ludzkich spraw. Ciężka choroba przerywa jego konsekwentnie zracjonalizowany tryb życia, odrywa od instytutu i badań, którymi kieruje. Znalazłszy się w małym, ograniczonym do szpitalnego pokoju świecie, odgradza się murem niechęci i dystansu tak od innych chorych i lekarzy, jak i ludzi z zewnątrz. W pełni świadom swej choroby, odrzuca wszelkie objawy serdeczności, współczucia, chęci pomocy, pracuje jednak nadal i z dala kieruje badaniami. Jest twardy i tę siłę chce sobie udowodnić, czuje się wyższy, lepszy niźli ci, co są wokół, wszystko, co robi i mówi ma być tego świadectwem. Ta zewnętrzna manifestacja określa go w oczach innych ludzi, nam jednak dane jest coś więcej. Pozwala się nam widzieć go w sytuacjach, których ci z jego świata nie znają, a są to ułamki chwil. Realizując swój film mówił Edward Żebrowski, że chciałby zrobić film : pojrzeń i chyba mu się to udało. Oczy i właściwie tylko oczy bohatera mówią o tym, iż nie jest inny, niż ci, wśród których żyje. Cierpienie i lęk są również jego udziałem, choć nigdy się do nich nie przyzna.

Choć trudno uznać, że docent Adam Małecki jest postacią budzącą sympatię, przyznam, że cały czas bałam się, iż w pewnym momencie stanę się świadkiem gwałtownego, pozytywnego przeobrażenia bohatera. Autor mi jednak tego oszczędził, jego bohater do końca pozostał sobą, nawet w ostatnich fragmentach filmu, wtedy, gdy po raz pierwszy coś zewnętrznie ludzkiego w nim odnaleźć można, jakieś okruchy ciepła, wtedy też motywy okażą się jednoznaczne. Cenię Edwarda Żebrowskiego za jego konsekwentne tropienie wnętrza człowieka, ale nie drogą prostych ułatwień, za konsekwentny rysunek postaci głównej jego filmu i tych pojawiających się w epizodach, za surową, lecz nie histeryczną atmosferę domu szpitalnego. Sądzę, iż wynika to z tej sprawy pierwszej, bowiem szpital i pacjenci ukazani są tak, jak ich widział Adam i z tego widzenia nie pozbawionego przecież elementów zrozumienia, współczucia, szacunku, choć surowego i zracjonalizowanego, wynika również prawdziwy, wewnętrzny świat docenta Adama Małeckiego.

Znalazł Edward Żebrowski dla swego bohatera aktora idealnego. Zbigniew Zapasiewicz stworzył w tym filmie wielką kreację. Jest ona jakby zamknięciem, dotychczasowych poszukiwań najbliższego mu typu bohatera. Zapasiewicz w telewizyjnym spektaklu „Godziny miłości", Zapasiewicz z filmu „Za ścianą" i „Ocalenia" — to bohater o tym samym rodowodzie zawodowym, to także ta sama postać wewnętrznego chłodu i antypatyczności, który nie stara się nikogo przekonać, że jest inny. Jeśli się w nim odnajduje coś więcej, to dobrze, jeśli nie — to nam tego nie ułatwi. Zbigniew Zapasiewicz, niesympatyczny, skupiony, twardy, zawiera nieujawnione cechy bohaterów w mikrogestach, spojrzeniach i ułamkach słów. Nie przesadzę chyba, jeśli dopatrzę się w jego aktorstwie tradycji Humphrey'a Bogarta. Zbigniew Zapasiewicz każe nam przyjąć bohatera „Ocalenia" takiego, jakim jest — jest bowiem jednym z nas.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

BEZRADNOŚĆ

Nie raz już chwaliłem magazyn „Kontakty", zespół Autorów Publicystyki Społecznej. Nic dziwnego ich programy bezkompromisowe pod względem tematycznym zawsze robią wrażenie. Ostatni szczególnie głęboko otarł się o dno naszej rzeczywistości: handel bimbrem, alkoholizm, kradzieże i deprawacje nieletnich. Pokazano nam sceny, ludzi zjawiska, o istnieniu których każdy z nas wiedział w jakimś stopniu, ale chyba nie sądził, że to aż tak wygląda! Koszmarne żywe trupy, zwierzęca egzystencja, grzęzawisko w którym dobrowolnie toną ludzie dorośli i niewinne dzieci. Właśnie dzieci! Dziesięcioletnie handlują bimbrem, dwunastopiętnastoletnie kradną za namową pasera. W tym samym wieku dziewczynka mieszka w jednej izbie z matką-prostytutką i szybko idzie w jej ślady.

I w tym wszystkim uczucie bezradności, najgorszy rodzaj bezradności od której gniew odbiera mowę, ale ręce opadają. Bo wiemy że, brak domów opieki nad dzieckiem, a właściwie brak ich w dostatecznej ilości. Za mało jest miejsc w domach poprawczych. To wszystko prawda, ale więcej uwagi trzeba zwracać na zapobieganie takim sytuacjom, na profilaktykę. A przecież w stosunku do tych, którzy za ten stan rzeczy odpowiadają, brak sankcji karnych. Dla nieprzytomnej od alkoholu matki po której raczkuje dwoje niemowlaków, nie rozumiejących jeszcze nic z tego okrucieństwa. Dla pasera (czy to jest odpowiednie słowo?) do którego znoszą łupy dwunastoletni chłopcy. Dla producentów „księżycówki" i sprzedawców oczyszczanego denaturatu, dodajmy wyraźniej — handlarzy trucizną, śmiercią.

Prawo jest i musi być humanistyczne, szczególnie nasze socjalistyczne prawo. Są również żelazne reguły tego prawa: dowód rzeczowy, świadkowie... Nie można tych zasad kwestionować. Jednak jakieś wyjście musi się znaleźć. Nasz margines społeczny czuje swoją bezkarność. Umie bezpiecznie balansować na tej niewyraźnie zakreślonej granicy prawa i bezprawia. Zna doskonale istniejące luki między paragrafami. Ci ludzie są nawet pod tym względem szokująco cyniczni. Dwudziestolatek z wyglądu, w czarnym swetrze i po kowbojsku uformowanym kapeluszu, mówi do milicjantów szukających baniek z zacierem w barakach: „Jeszcze zapłacicie odszkodowanie za podeptane liście". Kobieta u której podczas rewizji milicja znajduje butelki samogonu w komórce, bezczelnie oświadcza: „komórka była otwarta, to nie moje, ja odpowiadam za to co w zamkniętym".

Milicja? Działa oczywiście i to dość sprawnie. Część bimbrowni zostaje zlikwidowana, sypią się kary grzywien i aresztu. Ale w sumie jest też bezradna. W miejsce wykrytych powstają nowe. Inwestycje są proste i niedrogie, materiał zawsze pod ręką. A niestety, i to jest chyba główna przyczyna, odbiorców nie brakuje. Wiadomo popyt kształtuje podaż. Kolejarze potrafią zatrzymywać pociągi obok „samogonowych" wsi. Mówi o tym kobieta, podaje nazwiska, jest ostatecznie zdeterminowana, bo jej zapił się na śmierć, nie czym innym jak miejscową specjalnością.

Zastanawiałem się po obejrzeniu tego programu nad chyba istotną sprawą. Do kogo autorzy adresują swój program? Nie mam wątpliwości, że jest on potrzebny. To przecież jeden z nielicznych przykładów nie uciekania przed sprawami najtrudniejszymi. Ale do kogo jest adresowany? Mógłbym łatwo powiedzieć: do ludzi, żeby poruszyć sumienia, ostrzegać, oddziaływać wychowawczo. Do milicji, żeby była jeszcze bardziej energiczna. Do kodyfikatorów prawa, żeby znaleźli tę niezbędną formułę, jako podstawowe do represyjnego rozprawiania się z tą plagą społeczną. Być może takie były intencje i to już jest bardzo dużo. Zadaniem przecież dziennikarza jest sygnalizowanie pewnych zjawisk. Nie ich rozwiązywanie. I nie może być inaczej. Tylko, że to sygnalizowanie za długo trwa, a za mało jest działania, zarówno w sensie doskonalenia przepisów prawa, jak i likwidowania społecznych przyczyn istniejących negatywnych zjawisk. Za mało środków na ten cel, jak za dużo jest tolerancji urzędów i każdego z nas, również w jakimś stopniu odpowiedzialnego za to, co się obok dzieje.

Ktoś powie, przesada. Po co tak emocjonalny ton? Wiemy wszyscy, że to niewielki margines. To na szczęście prawda. Na całym świecie, szczególnie w krajach wysoko zurbanizowanych, ten margines niebezpiecznie poszerza się. Ich to oczywiście kłopoty. Ale nie mniej ostrzeżenie dla nas. Bo zaczynamy dostrzegać i w naszym kraju, rozwojowe tendencje tego procesu. A przecież przynajmniej do tego nie powinniśmy dopuścić.

JAROSŁAW TARNO

Inwokacja DO SYNA

RAFAŁ ORLEWSKI

Rafał Orlewski zadebiutował przed trzema laty tomikiem wierszy „Krzesiwo". To autorskie świadectwo urodzenia nie było rewelacją, choć jednocześnie prezentowało się dość przyzwoicie na tle produkcji literackiej jego rówieśników po piórze. Z tym większym zaciekawieniem bierze się więc do ręki książeczkę, która stanowi powtórny debiut R. Orlewskiego, tym razem w prozie. Choćby po to, aby prześledzić jaki wpływ na kształt tej prozy, wywarło wierszopisarskie terminowanie autora.

Już sam tytuł mikropowieści: „Igliwie" sugerować nam może, że Rafał Orlewski wywodzi siebie „z rodu poetów". Bo chociaż „Igliwie" jest nazwą osady, w której zamieszkuje narrator, to przecież przywodzi na myśl także bezpośredni sens lingwistyczny tego słowa sugerując nam sensualistyczny klimat tej prozy. Co najmniej kilkanaście zdań książki zakwalifikowałbym zresztą bez wahania jako „mowe wiązaną". Może to usprawiedliwiać fakt, iż narrator jest po trosze poeta, więc przystoi mu wyznać, że „dziewczyna jest jasna jak szczęście", albo też, że „zanurzamy się w ciszy, jak w wodzie".

Nie wisze tego zresztą po to, aby Orlewskiemu dokuczać. Trzeba bowiem spojrzeć na jego książkę raczej jako na zapis dotyczacu pokolenia, a jest w nim jednocześnie próba wyprowadzenia własnej genealogii. Jej rodowód sięga czasów powstania styczniowego, które było ostatnim zrywem romantyzmu dziewiętnastowiecznej Polski. Narrator czuje się po trosze sukcesorem tamtych wartości, toteż został upozowany romantycznie. Jest to zresztą romantyzm utragizowany, katastroficzny. Wszyscy ludzie bliscy narratorowi kończą przedwcześnie. Toteż cała powieść przepojona została obsesją samotnosci. Pogłębia ją jeszcze zdrada i odejście żony narratora, która decyduje się samodzielnie wychowywać syna. Taka koncepcja fabularna pozwoliła R. Orlewskiemu zastosować chwyt formalny sugerujący czytelnikowi pełną szczerość: powieść jest nieustanną inwokacją narratora do nieletniego syna. Ale mimo akcentów autobiograficznych spowiedź brzmi mimo wszystko literacko. Może dlatego, że tragizm tej książki jest w istocie banalny, co jeszcze podkreśla jej zakończenie typowym happy endem. Narrator odradza się bowiem z chwilą znalezienia nowej kobiety, która zastąpi mu żonę, a synowi prawdziwą matkę.

Toteż mimo ambicji nakreślenia ideologii generacji współrówieśnej R. Orlewskiemu, nie w tej próbie upatrywałbym główne walory książki. Jest ona o wiele cenniejsza w swej warstwie obyczajowej, gdyż Orlewski okazał się bacznym obserwatorem życia na tzw. głębokiej prowincji. Nic też dziwnego, że przekonywająco oddał atmosferę pół-miasteczka, pół-osiedla typu niemal wiejskiego. Do udanych należą także wiejskie partie książki, nawet te, odwołujące się do dalekiej przeszłości, z której narrator wyprowadza swoją genealogię.

Zresztą całą powieść znamionuje uwrażliwienie na barwę słowa, toteż trzeba ją potraktować jako swoisty poetycki brulion. A jednocześnie jako powieść nie spełnionych nadziei, mimo ambicji ukazania sytuacji pokolenia. Jest ona raczej zapowiedzią niż dokonaniem. Toteż z ostateczną oceną wstrzymamy się do kolejnej próby prozatorskiej R. Orlewskiego, pełniejszej.

KONRAD FREJDLICH

Rafał Orlewski: „Igliwie", Wydawnictwo Łódzkie 1972,

Miałem koszmarny sen, przyśnił mi się Lewiatan. I pewnie bym umarł ze zgrozy, gdybym nie dostrzegł w porę, że groźny potwór ma chytry acz bladawy uśmieszek redaktora Jana Sawickiego. Oraz brodę redaktora Józefa Wiśniewskiego, bo także rudą, tyle że dłuższą, sięgającą z Łodzi do Łęczycy.

Snów nie należy lekceważyć, tym bardziej własnych, toteż zaraz po przebudzeniu zakupiłem sobie w kiosku tygodnik regionalny „ZIEMIA ŁĘCZYCKA". Już miałem go ze zniechęceniem odłożyć, gdy nagle natrafiłem na wypowiedź prof. dr Relaighta i E. Faulknera zatytułowaną „O ŁĘCZYCKIM POTWORZE", którą redakcja przekazuje swoim czytelnikom za pośrednictwem osobnika podpisującego się Wiktor. Zanim jednak oddam głos szkockiemu uczonemu muszę nakreślić dzieje niezwykłego znaleziska, które jest zasługą prężnego tygodnika regionalnego. Oto bowiem „Ziemia Łęczycka" już w numerze 30 z 25 lipca br. zapytując przenikliwie „POTWÓR CZY WIDMO?" donosiła piórem wspomnianego Wiktora o przygodzie dwojga niezidentyfikowanych łęczycan, których wystraszył na torfowisku jakiś tajemniczy stwór. „Na miejsce nocnych wydarzeń — przechwala się Wiktor — udała się natychmiast redakcyjna ekipa".

Wysiłek został nagrodzony. Zaczajony w szuwarach fotoreporter „Ziemi" dokonał historycznego zdjęcia portretując potwora wychodzącego z trzęsawiska. Że zdjęcie to nie obiegło łamów światowej prasy, zawdzięczamy to przysłowiowej niemal ociężałości naszej CAF, której centrala mieści się, jak wiadomo, w Warszawie. Ale redakcja „Ziemi Łęczyckiej" nie zrażona tą zawiścią centrali,

postanowiła poprowadzić dzieło do ostatecznego rozstrzygnięcia.

„Wróćmy więc do tych spraw — zapowiada w numerze z 1 sierpnia br. — na łamach naszej gazety. Chcemy bowiem także zasięgnąć rady znawców przedmiotu — uczonych, którzy mogliby nam dać wyjaśnienie, co to za zwierzę, a być może — opisać nawet funkcje jego organizmu. Sami jesteśmy skłonni przypuszczać, że jest to chyba jakaś przetrwalnikowa forma zwierzęcia przedpotopowego".

Przypuszczenia własne zostawię na sam koniec, żeby nie zapeszyć materiału. W międzyczasie spróbuję oddać pełną sprawiedliwość redakcji „Ziemi Łęczyckiej", której inicjatywie nauka polska zawdzięczać będzie wiekopomne odkrycie. Szkoda więc, że zdyskontowane ono zostanie na rzecz Szkota. Czy przebranego w regionalną spódnicę kutnowską, której zdjęcie zamieściła mutacja tygodnika na pierwszej stronie „WIADOMOŚCI KUTNOWSKICH" nie wiadomo, a szkoda, bo to także rewelacja, tyle że nie przyrodnicza a etnograficzna.

Prof. dr Relaight dobrawszy sobie za pomocnika płetwonurka E. Faulknera szybko udowodnił, że swój tytuł nie zawdzięcza przypadkowi. Wyposażony w helikopter (do lotów podwodnych?), aparaturę elektroniczną oraz amfibię, z której można prowadzić „obserwacje nawet zanieczyszczonych czy mętnych wód", ustalił, że łęczycki potwór żywi się rybami i posiada skrzela ciągnące się od części szyjnej aż po „silnie wysklepioną klatkę piersiową".

Na temat wysklepienia czaszki redakcja milczy, dodając za to rozumnie, że potwór szczerzy zęby wyjątkowo inteligentnie. Nie wiem dlaczego znowu przypomniał mi się uśmiech redaktora Jana Sawickiego, chytry acz bladawy.

Jako przyrodniczy analfabeta, zwróciłem się o poradę do swego dziesięcioletniego syna, który pobiera w piątej klasie lekcje przyrody, aby potwierdzić własne przypuszczenia. Bez wahania chłopak mój zaklasyfikował łęczyckiego potwora jako ptaka z rodziny kaczek dziennikarskich.

Ale w związku z tym mam parę pytań, które chętnie publicznie zadam redaktorowi J. Sawickiemu. Kto upoważnił go do zanieczyszczania zasłużonej „Ziemi Łęczyckiej" bzdurami, które można by strawić bez zastrzeżeń tylko w numerze prymaaprilisowym? Panowie, zerwijcie czym prędzej kartkę z redakcyjnego kalendarza, bo już nie kwiecień, już jesień. I czy naprawdę nie potraficie wymyślić nic lepszego od potwora? A co z Borutą, który od wieków zamieszkuje na łęczyckich bagnach? Miła „Ziemio Łęczycka", nie wódź nas na pokuszenie, bo naślemy na ciebie Borutę, który pospuszcza powietrze z kół waszego redakcyjnego samochodu. A także prywatnego wozu redaktora J. Sawickiego i J. Wiśniewskiego.

JERZY DARNAŁ

Opowieści nie tylko fantastyczne 2.

Fakty są prawdziwe, fantastyczna jest tylko ich interpretacja. Ale kto dokładnie wie, jak było przed tysiącami lat? W Troję, opisaną przez Homera też nikt nie wierzył, dopóki jej nie odkryto. Tak i dziś niektórzy uczeni nie wykluczają istnienia opisanej w poprzednim odcinku Atlantydy. Ale to nie jedyna zagadka przeszłości.

„Oto ja przywiodę wody potopu na ziemię — powiedział Bóg, jak podaje Stary Testament — **abych wytracił wszelkie ciało, w którym jest duch żywota pod niebem. Wszystko, co na ziemi jest, zniszczeje".** A Noemu kazał zbudować korab wielki, uszczelnić smołą i zabrać tam żonę, synów z żonami i wszystko, co żyje po parze. Noe uczynił, jak mu Pan kazał. **„I stał się potop przez 40 dni na ziemi: i wezbrały wody i poniosły korab wysoko od ziemi".** Siódmego miesiąca arka osiadła na szczycie góry Ararat. Noe czekał jeszcze 40 dni, a później wypuścił gołębicę, ale ptak nie znalazł wolnej od wody ziemi i powrócił. Po dalszych 7 dniach Noe znów wypuścił gołębicę, która wróciła pod wieczór z gałązką oliwną w dziobie. To był koniec potopu.

Angielski archeolog — Sir Henry Layard odkrył w odkopanych przez siebie ruinach dawnej Asyrii zbiór tabliczek pokrytych pismem klinowym. Nazwano ten zbiór niezbyt precyzyjnie „biblioteką Assurbanipala". Zbiorem tym zainteresował się grawer Muzeum Brytyjskiego w Londynie — George Smith. Odczytując pismo klinowe z owych tabliczek, znalazł opowieść o... potopie. Po wnikliwej analizie tekstu doszedł do wniosku, że opowieść ta jest kopią znacznie starszej. Ale zbiory posiadane przez Muzeum Brytyjskie były niekompletne. Mimo to George Smith podał do publicznej wiadomości swoje odkrycie, które okazało się sumeryjskim eposem o potopie i stało się nie byle jaką sensacją. „Daily Telegraph" ofiarowała nawet tysiąc funtów śmiałkowi, który wyruszy na poszukiwanie brakujących tabliczek. Śmiałkiem okazał się sam George Smith. Jego podróże zakończyły się powodzeniem, znalazł brakujące tabliczki i odtworzył całość sumeryjskiej legendy.

Bohaterem tej legendy jest Gilgamesz, który po stracie wiernego przyjaciela udał się do swego nieśmiertelnego krewniaka — Ut-napisztima. Ten zdradził mu tajemnicę nieśmiertelności i opowiedział, dlaczego ją posiadł. Kiedy jeszcze mieszkał w mieście Szurupak nad Eufratem, bóg Ea ostrzegł go, że sprowadzi na ziemię potop i kazał mu zbudować korab. I dalej już wszystko tak samo, jak w biblijnej opowieści. Z małymi tylko różnicami. Jego korab osiadł na górze Nasir siódmego dnia potopu. Ut-napisztim wysłał najpierw gołębia, a gdy ten powrócił — jaskółkę, a gdy i ta powróciła — kruka. I kruk nie powrócił. Wody opadły.

Opowieść biblijna miała więc prawzór, którego była zmodernizowanym i adaptowanym do religijno-moralnych potrzeb Żydów powtórzeniem. Ale czy istotnie potop miał kiedyś miejsce? Odpowiedź na to pytanie dał inny angielski archeolog — Leonard Wooley. Kopał on w ruinach sumeryjskiej stolicy Ur. Pewnego razu natrafił na ogromne śmietnisko znajdujące się u podnóża muru warownego. Śmietnisko to istniało przez wieki. Kopiąc odkrywał coraz starsze warstwy śmieci. Aż wreszcie natrafił na muł rzeczny. Okazało się jednak, że już tylko na podstawie zwykłych obserwacji można było stwierdzić, że ów muł rzeczny znajduje się znacznie wyżej od koryta rzeki. Archeolog dokonał pomiarów triangulacyjnych i jego spostrzeżenie potwierdziło się. Kazał kopać dalej i... natrafił pod rzecznym mułem na dalsze ślady życia. Sumeryjskie i biblijna opowieść o potopie znalazła potwierdzenie.

Uczeni doszli do wniosku, że choć był to potop ogromnych rozmiarów, to jednak miał charakter lokalny, co w dorzeczu Tygrysu i Eufratu nie musi budzić zdziwienia. A więc nie ma powodu, aby nazywać go powszechnym. Wprawdzie dla tamtejszych ludzi, którzy nie odchodzili zbyt daleko od swoich siedzib, mógł się tylko takim wydać. Ale okazało się jednak, że opowieści o potopie można znaleźć też i w innych rejonach globu ziemskiego.

Na początek rejon niedaleki — Morze Śródziemne. W greckiej mitologii znajduje się opowieść o potopie Deukalionowym. Spowodował go Zeus w gniewie za grzechy ludzi. Bezpośrednim powodem było poczęstowanie go mięsem chłopca. Stało się to w Arkadii, gdzie panował Likaon z liczną gromadą synów. Z potopu ocalał tylko król Fryi — Deukalion, bowiem jego ojciec, tytan Prometeusz, kazał mu zbudować arkę, zaopatrzyć się w żywność i wejść tam z żoną Pyrrą. Woda pokryła całą ziemię, wystawały tylko szczyty najwyższych gór. Kiedy zaczęły osiadać, arka zatrzymała się na górze Parnas, ale tu podanie nie jest zgodne, bo w innych wersjach, mowa jest o Etnie, górze Atos czy nawet Otrys w Tesalii. Deukalion, chcąc sprawdzić, czy wody opadły, wysłał na zwiady gołębia.

Niektórzy skłonni są uważać, że ten mit powstał pod wpływem legend azjatyckich, uznając jako podstawę sumeryjski epos o Gilgameszu. Jednakże Apollonius Rodyjski, powołując się na zaginioną „Konstytucję Tegeańczyków" Arystotelesa, aby udowodnić większe prawo Pelazgów do Arkadii niż później przybyłych Hellenów, napisał:

„Gdy nie wszystkie ciała niebieskie krążyły dookoła nieba, rasa Danaidów nie była jeszcze znana, a kraj Pelazgów nie był pod władzą synów Deukaliona. Wtedy to — jak głosi fama — żyli tu jedynie apijscy Arkadyjczycy, a było to w czasach, gdy jeszcze nie było na niebie Księżyca".

Podobną opinię powtarza Plutarch, nazywając jednego z władców Arkadii Proselenosem, co znaczy „Starszy od Księżyca". Te fakty nie są bez znaczenia dla jednej z prób wyjaśnienia przyczyn potopu, który, jak się okazuje, wcale nie był taki znów lokalny. Legendy o nim przetrwały nie tylko w mitach greckich, sumeryjskich, czy w Starym Testamencie.

Wychowani w kręgu kultury śródziemnomorskiej najwięcej wiemy o biblijnym potopie. Tymczasem podobne legendy krążyły i, wśród innych ludów, które swoją kulturę kształtowały w odmiennych warunkach. Na przykład wśród ludów Indii krąży opowieść o chłopcu, którego przed potopem ostrzegł bóg, zamieniwszy się w sarnę. Chłopiec wraz z siostrą zbudowali łódź i tak się uratowali. Ale w tej opowieści występuje inny, ciekawy element, który ją różni od „śródziemnomorskich". W opowieści tej Słońce i Księżyc walczą ze sobą, gdyż Słońce miało wtedy siedmiu braci, którzy grzejąc, wspólnie spalali ziemię. Można na tej podstawie domniemywać jakichś zjawisk kosmicznych, które towarzyszyły legendarnemu potopowi.

Przekazy o potopie można znaleźć też w legendach chińskich, japońskich, u ludów Oceanii, a także w Ameryce Południowej i Północnej. Indianie z Kolumbii mieli np. boginię Chia, która była opiekunką kobiet. Ona to spowodowała potop, a było to jeszcze w czasach, gdy na niebie nie było Księżyca. Od tej pory Chia jest boginią Księżyca. Mit ten spisano w języku hiszpańskim, a więc już w czasach hiszpańskiej kolonizacji Ameryki Południowej.

Czy zatem był na ziemi potop powszechny? Fizycy skłonni są stanowczo odrzucić taką myśl, bowiem gdyby na ziemię spadły wszystkie wody, jakie są w atmosferze ziemskiej i stopniały wszystkie lody, to jej powierzchnię pokrytyby warstwa kilkudziesięciu milimetrów. Ale potop taki mógł się zdarzyć, jeśli przyjąć koncepcję katastrofy kosmicznej. Zderzenie planetoidy z Ziemią lub — jak chcą inni — porwanie Księżyca przez Ziemię mogłoby spowodować wysoką falę przypływu. Jednocześnie mogła nastąpić wspomniana już wcześniej, zmiana położenia Ziemi względem nieruchomej osi jej obrotu. A było to wtedy, kiedy wyspa Atlantyda zniknęła z powierzchni Ziemi.

Aby udowodnić tę koncepcję, trzeba byłoby odnaleźć ślad tej wyspy na dnie Atlantyku. Jak na razie odnaleziono jej „ślady" na innych kontynentach. Czy naprawdę są to „ślady" Atlantydy?

KRZYSZTOF POREMBSKI

KULTURA NA ŚWIECIE

CZY FRANCUZI ZWIEDZAJĄ MUZEA SZTUKI NOWOCZESNEJ?

Po ankiecie przeprowadzonej w Toronto w Kanadzie w sprawie ustosunkowania się widzów do wystaw sztuki współczesnej, we Francji na zlecenie Ministerstwa Kultury przeprowadzono, zakrojoną na szeroką skalę ankietę na ten sam temat. Badania objęły tysiąc osób rozmaitego wieku, pochodzenia, zawodu, światopoglądu.

Wyniki są raczej zaskakujące. Pozornie wydawałoby się, że kto jak kto, ale Francuzi interesują się sztuką nowoczesną. Wystawę Picassa w Grand Palais zwiedziło 670 tysięcy ludzi, Van Gogha 493.237 osób, Chagalla 253.930, a wystawę Légera obejrzało 57.706 widzów. Tymczasem przeprowadzona ankieta wykazała bezspornie, że 71 proc. Francuzów nigdy nie odwiedziło żadnej wystawy sztuki nowoczesnej, a jeśli chodzi o środowiska wiejskie procent ten wzrasta do 84. Dwudziestu dziewięciu na stu ankietowanych stwierdziło, że nie lubi tej sztuki, przy czym najczęściej motywowali to tym, że „obrazy nowoczesne każdy może namalować". Dwunastu ankietowanych na stu twierdziło, że nowoczesny artysta naigrawa się z widza, niektórzy, jak pewien kierownik bistra, twierdzili, że owszem lubią Picassa, nie mają nic przeciwko honorowaniu jego obrazów w Luwrze, ale u siebie w domu nie powiesiliby tych dzieł na ścianie. 56 proc. ankietowanych zna dzieła Picassa, Bernarda Buffeta i Salvadora Dali, natomiast sześciu spośród stu ankietowanych zaledwie zdołało wymienić Chagalla, dwóch na stu — Légera i tylko jeden na stu słyszał coś o nazwisku Matisse'a i Braque'a.

Kim są z zawodu ci, którzy stanowią 29 proc. uczęszczających na wystawy? Najczęściej są to intelektualiści i handlowcy. Najmniej zwiedzają lub w ogóle nie zwiedzają wystaw sztuki nowoczesnej rolnicy, emeryci i osoby bez zawodu. Młodzież w wieku lat 14 w połowie tylko była przynajmniej raz na wystawie, choć w kinie było już 83 spośród stu.

Ciekawe jest jak ankietowani widzą artystę. 23 proc. ankietowanych przyznaje artyście nowoczesnemu wybitny talent, ale niewiele mniej osób, bo dwadzieścia dwie na sto, uważa artystę nowoczesnego za swego rodzaju oryginała, którego ogół nie rozumie, 17 proc. traktuje artystę jako człowieka spełniającego swój zawód tak jak rzemieślnik, handlowiec czy nauczyciel. 12 proc. uważa, że nowoczesny malarz czy rzeźbiarz kpi sobie po prostu z publiczności korzystając z ludzkiej głupoty i tylko jedenastu spośród stu traktuje go jako człowieka poszukującego czegoś nowego tak jak naukowiec w dziedzinie wiedzy. Cztery procent uważa artystę za osobę sympatyczną, lecz niezbyt poważną.

ZAKOŃCZONY SPÓR O DZIEŁO MODIGLIANIEGO

W katalogu „Zbiór dzieł sztuki Nadrenii Północnej Westfalii" z roku 1968 figuruje m. in. obraz Amadeo Modiglianiego: „Portret Maxa Jacoba". Ale katalog wymieniał dzieło sztuki, które nigdy nie było w zbiorach galerii duesseldorfskiej.

W roku 1965 dyrektor krajowego muzeum w Duesseldorfie kupił na licytacji w Paryżu za cenę 450 tysięcy marek wraz z dziełami Juana Grisa i obrazem Picassa, płótno Modiglianiego. Ale dzieło pozostało we Francji. Władze tego państwa uznały portret Maxa Jacoba namalowany przez Modiglianiego za jeden ze skarbów narodowych, których wywozić nie wolno.

Przypomnijmy, że Max Jacob był wybitnym poetą francuskim związanym z kubizmem i surrealizmem. Należał do kręgu artystów i pisarzy grupujących się wokół Picassa i Apollinaire'a. Zaprzyjaźniony był m. in. z wybitnym rzeźbiarzem francuskim, pochodzenia rumuńskiego, Brancusim. Podczas drugiej wojny światowej, Max Jacob, który był pochodzenia żydowskiego, ukrywał się w zakonie benedyktynów pod Orleanem. Wykryty przez policję, aresztowany przez hitlerowców został wywieziony do obozu w 1944 roku i wkrótce tam zmarł.

Olejny portret Maxa Jacoba namalował Amadeo Modigliani (1884—1920) w roku 1916, kiedy to malował portrety wielu swych paryskich przyjaciół poetów, malarzy, rzeźbiarzy, kolekcjonerów sztuki i marszandów. Obraz Jacoba malowany jest w ciemnobrązowych tonach. Oszczędna forma, wydłużone proporcje twarzy odzwierciedlają styl w jakim tworzył Modigliani, na którego oddziaływała sztuka murzyńska i kubistyczne traktowanie modela.

Amadeo Modigliani: „Portret Maxa Jacoba"

Muzeum w Duesseldorfie przez siedem lat starało się o sprowadzenie zakupionego obrazu, którego wartość w międzyczasie wzrosła do 950 tysięcy marek. Ostatnio na skutek rozmowy jaką kanclerz Brandt i prezydent Pompidou odbyli w tej sprawie, obraz ma być wydany do Muzeum Nadrenii Północnej Westfalii w Duesseldorfie.

GARNCARSTWO W KABYLII

Kabylia jest krainą w północnej Algierii, na obszarze Atlasu Telliskiego. Zamieszkują ją głównie Kabylowie, lud berberyjski. Głównym miastem Kabylii jest Tizi Uzu, co po polsku oznacza pagórek porośnięty janowcem. W Kabylii kwitnie uprawa figowca, oliwek i jęczmienia, rozwija się tu także rzemiosło artystyczne, a sztuka garncarska uprawiana jest od wieków. Właśnie o tej sztuce garncarskiej, ciekawe informacje przynosi dziennik paryski „L'Humanite". Ceramika wytwarzana w Kabylii jest wyłącznie dziełem kobiet i to od wieków. Niezwykle interesujące są motywy zdobnicze, częstokroć kolorowe, umieszczane na glinianych talerzach, misach wazach, amforach, dzbanach itp. Nie są to motywy bez konkretnego znaczenia. Figury w postaci krzyży, kół, linii pionowych lub poprzecznych i różnych ich kombinacji, stanowią zespół swoistego pisma o bardzo rozległej tematyce. Znaki te symbolizują przedmioty jak np. list, ziarnko melona, zjawiska przyrody jak deszcz, zwierzęta jak np. wielbłąda, jaskółkę czy kota, człowieka czy też części jego ciała jak np. ucho, oko, kobiece piersi, inne znów znaki wyobrażają planety, gwiazdy itp. Niektóre ze znaków pochodzą

Znak ostrzegający o niebezpieczeństwie

z dawnych czasów z pisma Ti-Finar, jakim przed wiekami posługiwali się Tuaregowie. Inne symbole są prawdopodobnie bardzo dawnego pochodzenia, tak, że ustalenie ich źródeł jest bardzo trudne, jeśli nie wręcz niemożliwe. Owe garncarskie pismo przekazywane jest od wieków przez kobiety Kabylów swym córkom i w ten to sposób dotarło do naszych dni. Początkowo nikt z uczonych europejskich nie zwrócił uwagę na to, że motywy ceramiczne Kabylów mają znaczenie swoistego pisma. Dziś dla etnografów, którzy dopiero niedawno zainteresowali się tym pismem, jest to prawdziwie sensacyjne odkrycie. Pismo Kabylów służyło w czasie walk o wyzwolenie Algierii. Kobiety Kabylów ostrzegały swych rodaków posyłając im wiadomości o obecności wrogich żołnierzy. Wystarczyło przenieść, jako list, garnek z tajemniczymi znakami, na które nikt nie zwracał uwagi. I przez długi czas nikt się nie domyślał, że te rysuneczki, które tak ślicznie zdobią ceramikę z Kabylii mają konkretną treść.

MIRIAM MAKEBA HONOROWĄ OBYWATELKĄ KUBY

Miriam Makeba, słynna czarna pieśniarka otrzymała ostatnio od władz kubańskich honorowe obywatelstwo Kuby. Urodzona w Republice Południowej Afryki, nie godząc się z apartheidem, emigrowała, znajdując azyl w Gwinei. Miriam Makeba jest już honorową obywatelką czterech państw: Tanzanii, Algierii, Sudanu i Mauretanii.

NURKOWIE-SPORTOWCY ODKRYLI STAROŻYTNĄ RZEŹBĘ

Nurkowie-sportowcy natknęli się przy brzegu Półwyspu Kalabryjskiego we Włoszech na starożytną statuę wyobrażającą wojownika z hełmem korynckim na głowie. Figura jest z brązu i liczy 260 cm.

Rzeźba jest najprawdopodobniej dziełem któregoś z rzeźbiarzy, uczniów greckiego artysty Polikleta z Argos, żyjącego w drugiej połowie V wieku p.n.e.

FENICKA ŚWIĄTYNIA

Amerykańscy archeologowie odkryli w libańskim mieście portowym Sarafand, starożytną świątynię fenicką z siódmego lub szóstego wieku p.n.e.

NOWY FILM ORSONA WELLSA

Orson Wells nakręca film według jednej ze sztuk znanego powieściopisarza i dramaturga hiszpańskiego, Ramona del Valle Incian (1869—1936). W filmie wystąpi była żona Wellsa, Rita Hayworth.

POLITYKA NA ŚWIECIE

21 milionów lejów...

„NEWSWEEK" — NOWY JORK

Polemika, która rozgorzała wokół bombardowań tam i zapór wodnych w Północnym Wietnamie, przerodziła się ostatnio w rozważania nad o wiele bardziej poważnym problemem: jakimi środkami w ogóle prowadzą Stany Zjednoczone wojnę w Indochinach? W Wietnamie, w skali bez precedensu w historii działań wojennych, nawet krajobraz jest wrogiem, którego niszczy się systematycznie i bez litości.

Pragnąc wykryć nieuchwytnych komunistów, Stany Zjednoczone niszczą dżunglę milionami ton bomb lotniczych i pocisków artyleryjskich. Rozpylają śmiercionośne substancje chemiczne nad polami uprawnymi na powierzchni tysięcy hektarów. Rzucają do akcji kolumny ogromnych buldożerów, które przeorują w dżunglach długie przesieki.

Jakie, i jak długotrwałe, będą następstwa tej dziesięcioletniej wojny ekologicznej? W oczach wielu uczonych, Stany Zjednoczone ponoszą winę za umyślne niszczenie flory i fauny. Wydaje się, iż oskarżenie to trąciło czułą strunkę na Wzgórzu Kapitolińskim, gdyż senat poruszył sprawę stosowania dwóch rodzajów niezwykłej broni ekologicznej: ognistych burz i wywoływania sztucznego deszczu.

Inni uczeni uważają, że zniszczenia w Wietnamie nie są aż tak wielkie, by określić je mianem niszczenia naturalnego środowiska człowieka. Niemniej, pogląd każdej ze stron jest ściśle związany z problemem moralności, a przede wszystkim legalności prowadzenia tej wojny przez USA. Jakiby tam nie był ostateczny osąd tej kwestii, jedno jest pewne: długotrwała amerykańska interwencja zbrojna zmieniła oblicze Indochin.

Z całego amerykańskiego arsenału broni ekologicznej, najszerzej są stosowane herbicydy — substancje chemiczne, niszczące trawy i chwasty oraz defolianty, które powodują opadanie liści i niszczą rośliny uprawne. Defolianty używane przez armię amerykańską do niszczenia listowia, stanowiącego gęstą, naturalną osłonę dżungli, mają rzekomo pomóc w demaskowaniu ruchu wojsk przeciwnika. Nazywane pomarańczowymi, niebieskimi i białymi, w zależności od koloru kontenerów, zostały po raz pierwszy użyte do walki już w 1961 roku. W kołach wojskowych USA panuje pogląd, iż „w znacznym stopniu wykonały one swoje zadanie"...

„PORZĄDKOWANIE" TERENU

Dwa lata temu profesor uniwersytetu w Harvardzie, Mathewa Maselcon oraz grupa naukowców Amerykańskiego Stowarzyszenia Rozwoju Nauki stwierdzili zgodnie, iż połowa lasów mangowych w Południowym Wietnamie, o powierzchni około 500 mil kw. została doszczętnie zniszczona herbicydami i nigdy już nie wyda owoców. Straty spowodowane w liściastych lasach tego kraju są ponoć nieco mniejsze: pomarańczowy preparat chemiczny, rozpylany nad nieprzebytą dżunglą, osiada zazwyczaj na wierzchołkach drzew i w tych rejonach roślinność regeneruje się dość szybko. Niemniej zniszczenie korony drzew powoduje ujemne zmiany w tropikalnym drzewostanie, gdyż bambusy, jak również inne niepotrzebne i nieużyteczne rośliny, w wyniku uzyskanej „przestrzeni życiowej" wegetują fantastycznie szybko, zaśmiecając lasy.

Broń chemiczna, stosowana na bardzo szeroką skalę, jest jednak tylko uzupełnieniem środków militarnych. Dowództwo amerykańskie kładzie nacisk na konwencjonalne materiały wybuchowe, przy pomocy których najskuteczniej „oczyszcza" terytorium Południowego Wietnamu. Gdy, na przykład, chodzi o szybkie przygotowanie lotnisk dla śmigłowców, samoloty zrzucają bomby, specjalnie skonstruowane do wykonania tego rodzaju „prac". Eksplodując nad powierzchnią ziemi, bomby te nie tworzą lejów, lecz równają ziemię na obszarze równym, mniej więcej, boisku do piłki nożnej.

Do przeprowadzania większych operacji tego typu używają Amerykanie 32-tonowych buldożerów. Posuwając się w szeregu, jeden obok drugiego, nieraz falą po dwadzieścia maszyn, te stalowe potwory zdążyły „uporządkować" około 400 tysięcy hektarów ziemi (w przybliżeniu powierzchnia stanu Rhode Island) nim, w początku tego roku, „skreślono je z listy uzbrojenia". Buldożery przeorały żyzną warstwę gleby, zgarnęły ją w usypiska, pozostawiając deszczom dalsze dzieło zniszczenia.

ZMIANY W SKŁADZIE GLEBY

A jednak najbardziej niszczącym rodzajem broni ekologicznej okazały się bomby lotnicze i pociski artyleryjskie. Zgodnie z opinią profesorów: Artura H. Westinga i E. W. Pheyfera, którzy już od lat badają florę i faunę Wietnamu, w ciągu ostatniego dziesięciolecia, amerykańskie bomby wyryły w ziemi Południowego Wietnamu ponad 21 milionów lejów, każdy, przeciętnie, po około 10 metrów średnicy i ponad półtora metra głębokości.

Leje, niczym gigantyczna ospa, pokrywają powierzchnię około 180 tysięcy hektarów. Wybuchy bomb i pocisków przemieściły około 30 milionów metrów sześciennych ziemi. Prof. Pheyfer utrzymuje, iż w delcie Mekongu, gdzie wody gruntowe znajdują się około półtora metra poniżej powierzchni ziemi, leje szybko podchodzą wodą, a ponieważ nie ma w nich ryb, które by pożerały poczwarki owadów, przeto „stawy" te są wylęgarnią komarów, roznoszących malarię.

Przedstawiciele Pentagonu szacują, iż jeden do dwóch procent wszystkich amerykańskich bomb lotniczych i pocisków artyleryjskich nie wybucha od razu. Oznacza to, iż w przeciągu wielu lat po zakończeniu bombardowań niektóre rejony Wietnamu Południowego będą prawdziwym polem minowym. Poza tym odłamki pocisków trafiają w drzewa, kaleczą je, wskutek czego gniją one w pniu, co z kolei sprowadza do zera eksploatację drewna.

Przy wybuchach ciężkich bomb ziemia jest bardziej prasowana, niż wyrzucana w górę, dlatego zasypywanie lejów nie będzie rzeczą łatwą. W pewnych wypadkach częste wstrząsy ziemi spowodowały nawet zmiany w składzie gleby.

„Nie ulega wątpliwości, że bombardowania, skutki działania defoliantów i innych środków chemicznych będą miały zgubne następstwa — twierdzi geolog Van der Stuys, doradca UNESCO w zakresie ekologii. Ziemia jest odrębnym światem, mającym własny cykl życia i gdy jeden z jego elementów zostaje naruszony, ulega też zmianom cały łańcuch procesów, od których zależy egzystencja mnóstwa organizmów"...

PRZYKŁAD VERDUN

Niektórzy uczeni uważają, że wojna rozpętana przez Stany Zjednoczone spowodowała poważne wstrząsy ekologiczne.

By dowieść tego, powołują się na przykład jednego z rejonów Francji, gdzie podczas wojny światowej toczyły się ciężkie walki i który do dziś dnia nie otrząsnął się ze zniszczeń. Podczas jednej z bitew pod Verdun zniszczono nieomal całkowicie ponad 18 tysięcy hektarów lasu i chociaż władze francuskie od dawna robią wszystko, co tylko można, gleba do dziś nie zaleczyła ran. Niewypały pocisków leżą w ziemi, a sosny, zasadzone tutaj w latach dwudziestych, rosną niezwykle wolno, są karłowate i często chorują.

Jak zgodnie twierdzą fachowcy, „potrzeba jeszcze co najmniej stu lat, żeby zlikwidować wszystkie następstwa pierwszej wojny światowej. Wtedy dopiero wyrośnie tu normalny las"...

Wielu ludzi w USA ogarnia pesymizm, zwłaszcza gdy roztrząsa się rozmiary spustoszeń w Wietnamie Południowym. Niektóre rejony prowincji Kuangczi, Plejku, Kontum, a również tak zwany „żelazny trójkąt" (rejon na północny-zachód od Sajgonu) były obiektem zmasowanych uderzeń lotniczych i artyleryjskich, wskutek czego ich ekosystemy zostały silnie naruszone.

Być może, najbardziej poważnym i długotrwałym, socjologicznym następstwem wojny Stanów Zjednoczonych przeciwko Wietnamowi będzie wojenna migracja ludności. Chociaż ziemia zawsze była podstawą egzystencji Wietnamczyków, wojenne burze zmusiły miliony chłopów do porzucenia swych działek i osiedlania się w nędznych i zaniedbanych miastach.

Socjolodzy uważają, że ludzie ci nigdy już nie będą tacy, jak byli uprzednio. Na tym polega główna tragedia wojny i kulminacyjny punkt skutków zniszczenia naturalnego środowiska człowieka. Zranione drzewa mogą rosnąć. A zniszczona, wiekowa kultura Wietnamu?...

Omylili się prorocy

„FRANCE NOUVELLE" — PARYŻ

W pierwszych latach po wojnie, wielu ekspertów na Zachodzie twierdziło, iż kraje Europy Wschodniej stoją w obliczu ogromnych wysiłków całych pokoleń, by móc odbudować gospodarkę narodową, doszczętnie zniszczoną podczas wojny. A jednak... W czasie krótkim historycznie, przeprowadzono nowe jakościowo reformy ekonomiczne i socjalne, które, łącznie z koordynacją planów gospodarki narodowej, stworzyły niezbędne warunki do pełnej mobilizacji środków i szybkiego rozwoju ekonomiki.

Dziś, kraje członkowskie Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej (10 procent ludności i 18 procent terytorium Planety) wykonują 33 procent światowej produkcji przemysłowej. Ich potencjał ekonomiczny dwukrotnie przewyższa potencjał krajów Wspólnego Rynku.

Zasada międzynarodowego podziału pracy w planie socjalistycznej integracji ekonomicznej jest niezbędnym warunkiem do przezwyciężenia dysproporcji między rosnącymi potrzebami ludności, a niedostateczną jeszcze produkcją, takich, czy innych, towarów w skali jednego kraju, na przykład, niektórych towarów masowego spożycia. Jest to szczególnie ważne dla mniejszych krajów, dysponujących ograniczonymi środkami, skromnym rynkiem wewnętrznym i, siłą rzeczy, rozwijających specjalistyczne gałęzie gospodarki narodowej.

Socjalistyczny międzynarodowy podział pracy uwzględnia międzynarodowy podział pracy w skali światowej. Kraje członkowskie RWPG szeroko rozwijają ekonomiczne i naukowo-techniczne kontakty z innymi krajami, niezależnie od ich ustroju politycznego. Jest oczywiste, iż ogólnoeuropejska konferencja w sprawie bezpieczeństwa i współpracy będzie sprzyjać dalszemu rozwojowi tych kontaktów na kontynencie.

PRZEDTERAŹNIEJSZOŚĆ

Znajomość i zrozumienie

Podstawą zrozumienia jest znajomość, ta zaś między narodami wytwarza się w tyglu historii. Obecność Francji w kulturze polskiej i to od bardzo dawna — jeśli to prawda, że Anonim, chwalca Krzywoustego, był Gallem — najłatwiej jest śledzić na przykładzie literatury. Nie cofajmy się aż do średniowiecza: poczynając od „Historii o szlachetnej a pięknej Meluzynie", opowieści o Magielonie oraz „Historyi wielce prawdziwej o Francu, czyli Florencu królewicu francuskim" cieszących się popularnością od czasów Renesansu, przetłumaczyliśmy i zaadaptowaliśmy setki i tysiące dzieł literatury francuskiej. Co najmniej od Ronsarda aż po dziś dzień, żaden ważki nurt literacki, żadne ważniejsze dzieło czy nazwisko literatury Francji nie było dla nas pustym brzmieniem. Francuscy przyjaciele — potwierdzi to wszak wielu z nas — nie zawsze chcą nam wierzyć, że dysponujemy niemal kompletnymi edycjami ich własnych klasyków, a już zupełnie nie mogą pojąć, jak to się dzieje, że osiągają one zawrotne, jak na stosunki zachodnie nakłady, i to pomimo ustawicznych ograniczeń, spowodowanych permanentnymi niedostatkami papieru.

Nie należę do megalomanów, którzy pragnęliby, by Francuzi tłumaczyli w takim samym zakresie literaturę polską, jak my francuską i nie bardzo wierzę np., aby kiedykolwiek ukazał się we Francji np. komplet dzieł Orzeszkowej... Ale przyznajmy, że nasza literatura jest tam wcale nieźle reprezentowana. Nie tylko klasyczna. Sam widywałem na witrynach księgarń, i to nie tylko w Paryżu, przekłady utworów Parandowskiego i Gombrowicza, Bratnego i Mrożka, Brezy i Iwaszkiewicza, czytałem recenzje z wydanego przed kilkoma laty Bruno Schulza, który okazał się ważkim literackim odkryciem. Niewątpliwie brakuje jeszcze sporo, ale i jest przecież całkiem wiele i nie zanosi się, aby w przyszłości mogło być kiedykolwiek gorzej. Przeciwnie.

O tym wszystkim na ogół wiadomo. Znacznie mniej wiemy o innej stronie medalu, o żywych zainteresowaniach francuskich twórców problematyką polską. Jak rozwijają się one dzisiaj, o tym donoszą agencje prasowe, podając fakty o polsko-francuskiej współpracy naukowej i kulturalnej. Jak było dawniej — przypominają historycy.

Pozostanmy przy tych ostatnich. Nie zawsze mamy w pamięci, że historycy francuscy mają swój wcale pokaźny wkład w badaniach nad dziejami naszego kraju. Mam tu na myśli nie tyle dawnych dziejopisów Jana Sobieskiego — opata Coyer czy Salvandy'ego — nie myślę też o... Jean Racine, tym samym, wielkim twórcy „Andromaki", który parał się również i historią i w swoich „Fragmentach i notatkach historycznych" poświęcił wiele miejsca współczesnej mu historii Polski. Myślę o fascynacji Polską, w szczególności postacią Kościuszki, jaka była udziałem wielkiego historyka doby romantyzmu Jules Micheleta, o studiach nad polskim epizodem biografii Henryka Walezjusza prowadzonych — przy pomocy Polaków, nota bene — przez markiza de Noailles, a przede wszystkim o uczonych współczesnych. Przedwojenni słuchacze Uniwersytetu Jagiellońskiego pamiętają pewnie postać francuskiego duchownego, który prowadził zajęcia z... egiptologii. Był nim Pierre David uczony, który wprawdzie innych uczył czytania hieroglifów, sam zaś... nauczył się po polsku i zajął się badaniami nad naszym średniowiecznym piśmiennictwem. Rezultat: kilkanaście cennych rozpraw, uwieńczonych syntetycznym dziełem o źródłach do dziejów Polski w epoce piastowskiej. W Warszawie i Krakowie stałymi gośćmi bywali wówczas Pierre Francastel, wspaniały znawca nie tylko średniowiecznej sztuki, później autor rozprawy o naszych Drzwiach Gnieźnieńskich, Jean Fabre, potem autor wspaniałego dzieła o Stanisławie Auguście i Europie wieku Oświecenia, badacz epoki stanisławowskiej, dziś zaś także i czasów wcześniejszych Ambroise Jobert. Kiedy przed kilkoma laty spotkałem profesora Joberta z Grenoble w warszawskiej kawiarni, rzekł mi wówczas, że właśnie małym kieliszkiem koniaku czci mały prywatny jubileusz: dwudziesty piąty pobyt w naszym kraju.

Problematyka polska jest, jak widać, coraz żywsza we współczesnej francuskiej nauce historycznej. Jest obecna na kartkach książek, na łamach czasopism. Sięgają po nią czasem nawet autorzy, dla których nauka jest tylko poboczną sferą ich głównej działalności: znany polityk Jean-Paul Palewski, jest wszak autorem książki o Stanisławie Auguście! Jeden z najwybitniejszych historyków francuskich lat międzywojennych uporczywie tępił polską nazwę „Gdańsk" i zastępował ją niemieckim „Dantzig". Dzisiaj jego kontynuator referuje na swoim międzynarodowym seminarium publikacje uczonych polskich, a sam drugie wydanie dzieła swego życia uzupełnia materiałami, wydobytymi własnoręcznie z archiwów Krakowa, Wrocławia i Gdańska. Podobne przykłady można czerpać pełnymi garściami nie tylko z dziedziny historii.

Nie jestem politykiem i nie mnie wdawać się w polityczne rozważania. Ale jako historykowi wolno mi twierdzić, że polityka nie dzieje się w kulturowej próżni, że warunkiem jej powodzenia jest — jako się rzekło — obustronna znajomość. Tę zaś kształtują dzieje, dawne i bliższe, dokonujące się we wszystkich dziedzinach życia.

LEKTOR

Od niedzieli do niedzieli

Poeta tragiczny

Najwymowniejsza w tej książce jest notatka: „wybór niniejszy został dokonany przez samego poetę w roku 1966". I dopiero śmierć w trzy lata później zobiektywizowała tę tragiczną poezję i po trzech następnych latach polski czytelnik otrzymał wiersze Kazimierza Wierzyńskiego w nakładzie — jak na poezję — masowym, bo przekraczającym 10 tysięcy egzemplarzy.

Był postacią tragiczną, jak każdy emigrant, oderwany od ziemi ojczystej. Był postacią tym tragiczniejszą, że sądził, iż na emigracji trzymają go jakieś racje polityczne — a to była niepraw-da. Pozostał na emigracji, bo runął jego świat, a bał się tej innej, nieznanej Polski. Jego późniejsze działania i gesty — to już tylko konsekwencja tego strachu.

Ale przecież rozumiał, że „Polska leży nad Wisłą", że „nikt nie jest samotną wyspą"... I wiedział, że Jego „świat kończy się urwiskiem".

W roku 1959 na wieść, że w jednym z łódzkich teatrów studenckich przygotowuje się montaż Jego wierszy, napisał w liście: „może jakoś jednak do widzenia". Ale nie zobaczyliśmy się — Jego strach nie pozwolił mu przyjechać, zobaczyć Polskę, która po pożodze wojennej odrodziła się na nowo — zupełnie inna.

To nie był strach „polityczny". Wolał po prostu pozostać przy swojej, bajkowej już wizji Polski, przy swojej nostalgii, przy swojej męce...

„Strach mój i powrót
Zguba i miłość
Której zabić nie umiem
Ani obronić".

Ten, jakże bardzo polski poeta, żył w otwartej bramie świata — między nowojorskim Long Island, Londynem i Paryżem. „Wszystkie strony świata otwarte — a wyjścia z żadnej. Taki jest potrzask".

Na to jedno, jedyne wyjście z potrzasku nie umiał się zdecydować, choć tak dobrze wiedział, że „Polska leży nad Wisłą", że te wszystkie londyńskie oficyny księgarskie, paryskie miesięczniki i monachijskie rozgłośnie — nie są Polską... Bo Polska leży nad Wisłą. Zawsze i w każdej sytuacji.

Ale on krążył z kufrem na plecach przez Europę i Amerykę i wciąż goniło go przerażenie i tęsknota. I patrzył w otwarte okna, które kusiły obietnicą samounicestwienia, i trwał przy swojej zaciętej niezgodzie.

„Psie wycie za moją ziemią karpacką
Spazm do którego wstyd mi się przyznać
I przeprowadzka za przeprowadzką,
Z Ameryki do Europy,
Z Europy do Ameryki
Kufer na plecach
Schodzone stopy
Ojczyzna".

Nie potrafił się „zaadaptować" w otwartej bramie świata — Polska goniła go wszędzie. On sam, być może, gonił za jakąś namiastką Polski, krążąc po świecie. „List Pana przesłano mi z Ameryki, skąd wyjechaliśmy jeszcze w czerwcu i po różnych peregrynacjach osiedliśmy na kilka miesięcy w Paryżu" — pisał do mnie w listopadzie 1957 roku. Potem był Londyn, potem Paryż, potem znów Londyn... Kufer na plecach, ciągła wędrówka.

Czytając wydany ostatnio tom poezji Kazimierza Wierzyńskiego, widzimy, jak blisko był tego ostatecznego gestu, na jaki zdobył się Jan Lechoń, skacząc z okna hotelu „Hudson". Jego ostatnie wiersze nie tchną już nostalgią: one wołają rozpaczą.

„Puste, otwarte okna
Przerażenia
Puste mieszkanie
Otwarte na przestrzał
Trwoga istnienia".

Nie skoczył — ubiegło go serce. Zagubione, bezradne serce polskiego poety, który zdecydował się na gest, będący dla poety zawsze przegraną — na gest rezygnacji ze swojej Ojczyzny.

WIDOK

KOMUNIKAT NAGRODY „WIDOKA"

W felietonie o Igrzyskach Olimpijskich zadałem Czytelnikom pytanie o złotego medalistę w dziedzinie literatury z Olimpiady w Amsterdamie. Oczywiście chodziło o Kazimierza Wierzyńskiego. Liczyłem na 10—20 odpowiedzi, przyszły... cztery. Zamiast więc losować tom wierszy wśród Czytelników, jak to było moim zamiarem, postanowiłem przesłać książkę autorowi pierwszej odpowiedzi. Losowanie jednej spośród czterech kartek byłoby chyba śmieszne. Tom wierszy Kazimierza Wierzyńskiego, wydany przez Wydawnictwo Literackie, otrzymuje p. Waldemar Milewski (Łódź, ul. Tamka 4 m. 60).

POMYSŁ PROFESORA HEDENIUSA

Bracia Goncourt w swych „Dziennikach" zapisali między innymi wiele rozmów, prowadzonych podczas modnych w owym czasie, t.zn. przed niespełna setką lat, obiadów literackich. Niestrudzony w pomysłowości Boy wybrał co ciekawsze obiednie rozmowy i spitrasił z tego nowy, syntetyczny, kompilacyjny „Obiad Literacki". W pewnym momencie zabiera tam głos znany krytyk, Sainte-Beuve:

„Były na świecie wszystkie systemy, wszystkie religie, idee. Jakim cudem nie powstała w żadnej epoce, w żadnym zakątku ziemi sekta mędrców głoszących zagładę życia wobec jego okrucieństwa i niedoli? W jaki sposób nie przyszło nikomu do głowy głosić koniec ludzkości nie tylko przez poniechanie płodzenia, ale przez wynalazek najłagodniejszego samobójstwa, jakiegoś gazu rozweselającego, który by zamienił w wybuch śmiechu przejście z bytu do niebytu?"

Nie wynaleziono dotychczas środka, który by przyoblekał śmierć samobójczą w formę wybuchu śmiechu, ale znamy już filozofię głoszącą pochwałę samounicestwienia, której brak dziwił krytyka francuskiego: egzystencjalizm. Jacyż tedy jesteśmy postępowi! Zresztą na długo przed Sainte-Beuvewem, w XVII wieku, Tomasz Companella, tworząc swą utopię państwa idealnego, „Miasta-Słońca", uważał, że idealni obywatele tego państwa będą sami zadawać sobie śmierć dla uniknięcia zgrzybiałej starości, w wypadku kalectwa lub ciężkiej choroby — słowem w tych wszystkich wypadkach, kiedy mogliby stać się ciężarem dla pracującego społeczeństwa. Samobójstwo miało być zaszczytnym aktem woli, otoczonym czcią, celebrowanym przez ogół. Przesłanki takiego obyczaju byłyby więc ekonomiczne, nie czysto filozoficzne, jak u egzystencjalistów, uważających śmierć za najradykalniejszą ucieczkę od niedoli istnienia, od zła, błędu i fałszu świata, za zwycięstwo myśli nad bytem; jedni i drudzy jednak uznali samobójstwo za zdarzenie z kategorii normalnych, za element normalnej rzeczywistości.

Nie przewidział też Sainte-Beuve, że już w kilkadziesiąt lat po jego wypowiedzi sytuacja na świecie odwróci się nagle o sto osiemdziesiąt stopni: uważał, że może nastać koniec ludzkości przez poniechanie płodzenia, my zaś zaczynamy uważać, że właśnie niepohamowane płodzenie przyśpieszyć może ów koniec. Przyrost naturalny w Indiach jest jak wiadomo największą aktualnie klęską tego kraju, robi się tam ogromne wysiłki aby spowodować „poniechanie płodzenia", istnieją całe urzędy zajmujące się wyłącznie tą sprawą. Nie ma już obiadów literackich, nawet przy obiedzie w „wypoczynkowych domach pracy" Związku Literatów Polskich mówi się o meczach bokserskich, o pogodzie, o chorobach i ich leczeniu. Gdyby były takie obiady, gdyby zasiadł przy jednym stole Sandauer, dwóch Brandysów i Hamilton — usłyszelibyśmy niewątpliwie serię świetnych paradoksów, adekwatnych do naszego dzisiejszego świata. Ale obiadów nie ma.

Jest natomiast profesor Hedenius w Szwecji, który uważa, że każdy człowiek ma pełne prawo dysponować własnym życiem. Jeśli zatem chce sobie to życie odebrać — należy mu w tym grzecznie, uprzejmie i życzliwie dopomóc, tak jak powinno się zawsze pomagać bliźnim we wszystkich ich poczynaniach. Oto i szczyty kultury! Ze szczytu jak wiadomo można tylko zejść niżej. Na szczycie niektórzy doznają zawrotu głowy. Na szczycie wieją wiatry, można spaść, zamiast zejść spokojnie. A może już zaczynamy spadać?

Profesor Hedenius chce organizować (państwowe!) kliniki, które będą przyjmować kandydatów na samobójców. Najpierw oczywiście będzie się z takim dyskutować. Jeśli facet będzie się upierał przy swoim — państwowy lekarz uśpi go łagodnie w państwowym łóżku przy pomocy środków z państwowej apteki, nabytych ulgowo, za 33 procent ceny. Nie wiemy, czy będzie się przedtem wzywać rodzinę. Nie wiemy, czy zawiadomi się mamę, narzeczoną i wierzycieli, a w niektórych wypadkach — okradziony przez kandydata bank lub nie do końca uduszoną w afekcie małżonkę. Projekt wymaga szczegółowego dopracowania, zwłaszcza że decyzji już nigdzie zaskarżyć by nie można ani nakazać jej rewizję. Oczywiście — wszystkie samobójstwa pokątne, chałupnicze, bez licencji, byłyby karane jako zabiegi niedozwolone, wykonane w warunkach niehigienicznych. Że trzeba czekać na wolne łóżko w klinice profesora Hedeniusa? Trudno.

Zresztą spryciarze zawsze sobie poradzą. Znajdą chody, załatwią przez bufet, uzgodnią przy brydżu. Tylko szary, zwykły, przeciętny obywatel będzie wydeptywał ścieżki, pisał podania i czekał, czekał, czekał... Aż się rozmyśli.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jerzy Wawrzak (redaktor naczelny), Karol Badziak, Konrad Frejdlich, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański, Lucjusz Włodkowski (sekretarz redakcji), Teresa Wojciechowska. Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwart. 19,50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 204. D-4.